

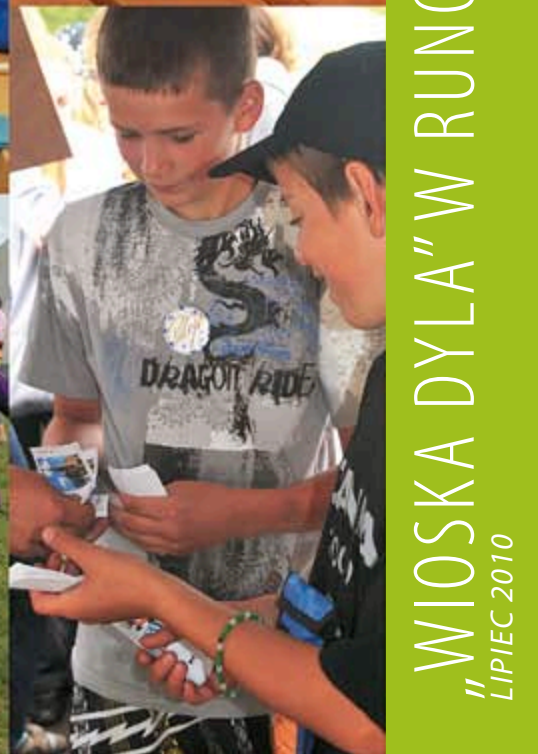
Powiat



Nr 7-9 (113-115), Lipiec-Wrzesień 2010
Rok X * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Czy gminy dadzą się przekonać
Miłość jest naszym domem
Laureaci nagród w kulturze
Wioski tematyczne
Być robotnikiem - cóż to znaczy?
Chopin w Budapeszcie
Święto rocka w Dolinie
Jesteś stąd bardziej niż myślisz
Wieś Tworząca



"WIOSKA DYLA" W RUNOWIE
LIPIEC 2010



Drodzy Czytelnicy!

Jednostki samorządu terytorialnego mają obowiązek przedłożenia projektów uchwał budżetowych na rok 2011 do zaopiniowania przez Regionalną Izbę Obrachunkową do 15 listopada br. Powiat słupski, jak i inne samorządy już rozpoczęły prace nad przygotowaniem tego dokumentu. W tym roku konstruowanie budżetu będzie wymagało jednak więcej pracy, gdyż wprowadzono kilka znaczących zmian.

Warunkiem koniecznym do uchwalenia budżetu samorządu gminy, powiatu i województwa - zgodnie z ustawą o finansach publicznych - jest zachowanie równowagi budżetowej w zakresie działalności operacyjnej od 2011 roku. Oznacza to, że wydatki bieżące, na utrzymanie szkół, opieki społecznej, placówek kultury czy przedszkoli, będą musiały równoważyć się z dochodami bieżącymi, pochodzącymi z udziału w podatkach, opłatach, subwencji czy dotacji. Natomiast dochody ze sprzedaży majątku trwałego samorządy będą musiały w całości przeznaczyć na inwestycje. Wyjątkiem będzie spłata wcześniej zaciągniętych kredytów.

Istotną zmianą ustawową jest wprowadzenie od 2011 roku obowiązku sporządzania Wieloletniej Prognozy Finansowej, której jednym z zasadniczych elementów stanie się dotychczasowy Wieloletni Plan Inwestycyjny.

Przygotowanie tych dokumentów będzie wielkim wyzwaniem dla samorządowców. My już w tym roku podjęliśmy próbę skonstruowania budżetu według znowelizowanej ustawy, czyli zbilansowania wydatków i dochodów. Nie ukrywam, że nie było łatwo. Z rozmów z samorządowcami wiem, że dla wielu gmin czy powiatów będzie to niezwykle trudne zadanie. Przez ostatnie kilka lat wiele jednostek mocno się zadłużyło i zapewne tym będzie niezwykle ciężko spłacać kredyty i normalnie funkcjonować, kiedy wydatki są zbyt wysokie, a dochody ze sprzedaży majątku mocno zmniejszają.

Natomiast te gminy czy powiaty, które racjonalnie gospodarowały w ostatnich latach są dobrze przygotowane do zmienionej sytuacji budżetowej i zapewne nieźle sobie poradzą z tym trudnym wyzwaniem. Obawiam się, że w 2011 roku wielu samorządom nie uda się samodzielnie funkcjonować w nowych warunkach finansowych. Pojawiły się głosy, że usztywnienie przepisów finansowych może doprowadzić do łączenia słabszych, mniejszych i mocniejszych samorządów. Sądzę jednak, że w powiecie i gminach powiatu słupskiego taki scenariusz nie będzie miał miejsca.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarz-Zych** (przewodniczący), **Maria Matuszewska** (z-ca przewodniczącego), **Artur Wróblewski**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 842 54 17, fax 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: Zakład Poligraficzny „Grawipol”, 76-200 Słupsk, ul. Poznańska 42. Na okładkach: Paula Chołowienko ze Słupska w gogolewskich słonecznikach; młode artystki z zespołu „Suniczki” z Mińska na występach w DPS w Lubuczewie.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

W numerze:

Dyrektorzy przedstawili ciekawe propozycje	4
Czy gminy dadzą się przekonać?	5
Jednogłośnie	5
Ludzie was doceniają	6
Wspominane z dumą	6
Zamiast biegać po podwórku, uczyłem się gotowania	7
Rowy kolorowe od maskotek	8
Wyróżnienie od leśników	9
Dostali energii	10
Pokazali w telewizji	10
Miłość jest naszym domem	11
Skrócili trasę rajdu	12
Laureaci nagród w kulturze	13
W rodzinnym Białogardzie - order	14
prezydenta	14
„Wioska Dyla”	16
Wioski tematyczne	18
Modlili się na wodzie	18
Być robotnikiem - cóż to znaczy?	19
Nie zagubić samego siebie	23
Chopin w Budapeszcie	25
Święto rocka w Dolinie	26
Z krzyżykiem do Madrytu	27
Od Warszawianki do Dziewczyny o perłowych włosach	28
Wędrowki po siedliskach naszych przodków	30
Burak ci ja, burak	32
Badania w Salusie	34
Historia nie tylko rodzinna (cd.)	35
Jesteś stąd bardziej niż myślisz	38
Pancernik „Bismarck”, jakiego nie znamy...	40

Czy gminy dadzą

Gospodarka wodno-ściekowa była m.in. tematem czerwcowego Konwentu Samorządowców Powiatu Słupskiego

Ta część konwentu, z udziałem Andrzeja Kaczmarczyka - wiceprezydenta Słupska, Andrzeja Wójtowicza - prezesa Zarządu spółki „Wodociągi Słupsk”, Marka Biernackiego - radnego Sejmiku Województwa Pomorskiego, przedstawicieli Kancelarii Radców Prawnych Jerzmanowski i Wspólnicy oraz innych gości, odbyła się w Centrum Edukacji Ekologicznej na terenie Oczyszczalni Ścieków w Słupsku. Poświęcona była możliwości współpracy Słupska z gminami rejonu słupskiego w zakresie wspólnej gospodarki wodno-ściekowej. W swoim wystąpieniu A. Kaczmarczyk zachęcał do współpracy międzygminnej i zaproponował połączenie działań organizacyjnych i inwestycyjnych w celu zbudowania wspólnego, silnego i profesjonalnego przedsiębiorstwa wodociągowo-kanalizacyjnego działającego w modelu współwłasności i

współodpowiedzialności tych gmin, które będą chciały do niego przystąpić.

- Miasto Słupsk dysponuje bardzo dobrą spółką wodociągową, która mogłaby przejąć funkcję lidera i byłaby kreatorem nowoczesnej gospodarki wodno-ściekowej na terenie miasta i powiatu - zachęcał wiceprezydent A. Kaczmarczyk.

Do wystąpienia tego odniósł się starosta słupski, Sławomir Ziemianowicz.

- Prawo jednoznacznie określa, że odpowiedzialność i decyzje leżą po stronie gminy i tylko od woli wójta i Rady Gminy będzie zależało, w jakiej formie i konfiguracji będzie prowadzona gospodarka wodno-ściekowa, jak będzie wyglądała organizacja tych usług, inwestycje i kształtowanie polityki cenowej - powiedział S. Ziemianowicz. - Poprzez uświadomienie sobie wagi problemu i perspektywy, jaką daje współ-



Fot. J. Maziejuk

Dyrektorzy przedstawili ciekawe

Jedną z ważniejszych spraw, którą zajmował się Zarząd Powiatu Słupskiego było zatwierdzenie regulaminu realizacji i finansowania Programu wymiany eternitowych pokryć dachowych

Zarząd Powiatu Słupskiego w okresie wakacyjnym odbył osiem posiedzeń. Opracował pięć projektów uchwał Rady Powiatu, które były szczegółowo analizowane na posiedzeniach komisji, a dotyczyły: określenia zakresu i formy informacji o przebiegu wykonania budżetu powiatu za I półrocze, procedury uchwalania budżetu powiatu oraz rodzaju i szczegółowości materiałów informacyjnych towarzyszących projektowi budżetu, zmian w budżecie na 2010 rok, zaciągnięcia kredytu długoterminowego, umowy z gminą Damnica na udzielenie powiatowi pomocy finansowej na przebudowę drogi powiatowej Łebień-Strzyżyno.

Zarząd podjął dwadzieścia trzy uchwały własne. Jedną z ważniejszych było zatwierdzenie regulaminu realizacji i finansowania Programu wymiany eternitowych pokryć dachowych. Zakończono już wery-



Fot. J. Maziejuk

fikację wniosków o zakwalifikowanie nieruchomości do programu oraz przygotowanie dokumentację przetargową na wyłonienie firmy, która będzie usuwała azbest z dachów oraz transportowała i unieszkodliwia-

ła odpady azbestowe. Na uwagę zasługuje również uchwała w sprawie przeprowadzenia konsultacji społecznych zaktualizowanego „Słupskiego powiatowego programu na rzecz zatrudnienia i spójności społecz-

...a się przekonać?



działanie w tym zakresie, można zastanowić się, jak inaczej przeprowadzić tę operację. Są to decyzje indywidualne gmin, nikt nikogo nie zmusi do przystąpienia do spółki i nikt też nie powinien nikogo krytykować, w sensie politycznym. Jeśli gmina sama bezpośrednio prowadzi usługi zaopatrzenia w wodę i odprowadzenie ścieków to urzędnicy, a w konsekwencji wójt będzie odpowiedzialny za skutki prawne tych decyzji.

- Propozycja wyrażona przez pana prezydenta, będąca wyrazem pomysłu prezesa, pokazuje nowe podejście i warto się nad nią zastanowić, przeanalizować, przymierzyć się do swojego modelu i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy ta for-

muła nie byłaby właściwym rozwiązaniem do świadczenia tego typu usług w gminie - dodał starosta.

Łukasz Ciszewski z Kancelarii Radców Prawnych Jerzmanowski i Wspólnicy przedstawił sposoby realizacji zadania gminy z zakresu zbiorowego odprowadzania ścieków. Pokazał przykłady dobrych i złych rozwiązań stosowanych w kraju. Szczegółowo omówił też wszystkie kwestie prawne i wyjaśnił wszelkie wątpliwości wójtów.

Andrzej Wojtowicz - prezes spółki „Wodociągi Słupsk” zaprezentował strukturę i funkcjonowanie spółki. Zwrócił uwagę na doświadczenie, profesjonalizm i kapitał, jakim dysponuje zakład. Omówił najważniejsze cele i kierunki działania oraz plany związane z rozwojem spółki.

Gospodarze gmin prosili o przygotowanie oferty i prezentacji spółki dla swoich radnych. Prezes „Wodociągów” przygotowuje takie oferty, a także zadeklarował swoją obecność na posiedzeniach rad gmin, jeśli będzie taka potrzeba.

Maria Matuszewska
Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku

propozycje

nej” z mieszkańcami powiatu. Jej treść została umieszczona na stronie internetowej oraz w Biuletynie Informacji Publicznej. Zarząd przyjął informację o przebiegu wykonania budżetu powiatu za I półrocze i przekazał ją Radzie Powiatu Słupskiego oraz Regionalnej Izbie Obrachunkowej w Gdańsku. Opublikowana została ona na tablicy ogłoszeń Starostwa Powiatowego i w Biuletynie Informacji Publicznej. Ponadto Zarząd wydał sześć postanowień, którymi uzgodnił projekty miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, wydał pozytywną opinię dla dokumentacji dotyczącej przebudowy ulicy Sportowej w Ustce, zapoznał się ze sprawozdaniem z wykorzystania środków finansowych na doskonalenie zawodowe nauczycieli w I półroczu br. oraz z informacją na temat przeprowadzonej kontroli w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii w Ustce przez sędziego Sądu Rejonowego w Słupsku. Ośrodek ten jest prowadzony wzorowo.

Pod koniec lipca Zarząd Powiatu spotkał się z dyrektorami domów pomocy społecznej. Rozmawiano nie tylko o bieżącym utrzymaniu ośrodków, ale również o pla-

nach na przyszłość. Niektórzy dyrektorzy przedstawili ciekawe koncepcje, do których Zarząd odniósł się pozytywnie.

Okres letni to czas intensywnych prac drogowych. W sierpniu Zarząd Dróg Powiatowych w Słupsku zakończył przebudowę dróg powiatowych Gąbino-Objazda i Objazda-Rowy. Od maja do sierpnia przeprowadzono remont odcinka drogi powiatowej od Gąbina do Rowów. Wykonane prace polegały na wzmocnieniu konstrukcji nawierzchni, budowie chodników i zjazdów na posesje w miejscowościach Gąbino, Objazda, Bałamątek, Dębina oraz wykonaniu ścieżki rowerowej na odcinku Dębina-Rowy. Trwają jeszcze prace przy przebudowie drogi powiatowej Reblino-Wrzęca. W ramach tej inwestycji wykonane zostaną również roboty związane z budową kanalizacji deszczowej i sanitarnej oraz modernizacją oświetlenia ulicznego w obrębie przebudowywanej drogi. Wartość robót związanych z powyższą przebudową przekracza 14,3 mln zł; 85 proc. tej kwoty pochodzi z Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Pomorskiego na lata 2007-2013.

W sierpniu ogłoszono przetargi na przebudowę dróg powiatowych Łebień-Strzyżyno oraz Łupawa-Grąbkowo.

Grażyna Śniadała
Wydział Organizacyjny

Jednogłośnie

Obrady lipcowej sesji Rady Powiatu Słupskiego trwały krótko, ale były niezbędne dla działań powiatu

Radni zgodzili się na zawarcie umowy partnerskiej z kilkoma gminami na wspólną realizację projektu „Poprawa bezpieczeństwa mieszkańców powiatu słupskiego” oraz umowy z Ustką, gminą Ustka i Stacją Pogotowia Ratunkowego w Słupsku na realizację projektu „Wodne ratownictwo medyczne w powiecie słupskim”.

Celem pierwszego projektu jest, po uzyskaniu środków unijnych, zakup sprzętu dla straży pożarnej. Drugi, innowacyjny zakładka zakup karetki wodnej, którą powiat słupski chce dofinansować kwotą 100 tys. zł.

Najważniejsze kwestie dotyczyły jednak zmian w budżecie, a mianowicie - przeniesienia środków na realizację ww. projektów oraz zwiększenia wydatków w Zarządzie Dróg Powiatowych.

Wcześniejsza pozytywna opinia Komisji Budżetu i Finansów oraz Rozwoju Powiatu zaowocowała jednogłośnie podjęciem wszystkich uchwał. (K.S.)



Choć od wybuchu Powstania upłynęło już 66 lat, to wciąż z dumą wspominane jest to niezwykle wydarzenie w historii Polski. Uroczystość rozpoczęła się wystawieniem warty honorowej przy pomniku Powstańców Warszawy przez wojsko i harcerzy. Została odprawiona msza polowa, po której kpt. Grzegorz Kruk z 7. Brygady Obrony Wybrzeża odczytał apel poległych. Okres Powstania przybliżył prezes

1 sierpnia w parku przy ulicy Szarych Szeregów w Słupsku oddano hołd ofiarom Powstania Warszawskiego

Światowego Związku Żołnierzy AK Inspektora w Słupsku Marian Holc. Obchody zakończono złożeniem kwiatów pod po-

mnikiem przez władze samorządowe, posłów oraz przedstawicieli służb mundurowych i kombatanów. (K.S.)

Ludzie was doceniają

23 lipca uroczystie otwarto w Kobylnicy nowy posterunek policji, wyróżniającym się policjantom wręczono nagrody i podziękowania

Posterunek zbudowano przy ulicy Wodnej w tworzonej Centrum Administracyjno-Kulturalnym. Policjanci cieszą się, że będą pracować w komfortowych warunkach. Całkowita powierzchnia posterunku to dwieście sześćdziesiąt metrów kwadratowych!

W tworzonej centrum przewidziane jest jeszcze ulokowanie - Komendy Straży Gminnej, Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej oraz Gminnego Ośrodka Kultury z salą widowiskowo-teatralną na dwieście pięćdziesiąt miejsc, biblioteką, świetlicą i pracowniami. Docelowo również zostanie

przeniesiony tu urząd gminy. Cały obiekt będzie się składał z czterech segmentów.

Przed uroczystym otwarciem posterunku odbyła się akademія z okazji święta policji. Funkcjonariuszom wręczone zostały awanse i nominacje na kolejne stopnie w korpusach policyjnych. Przyznano też nagrody i wyróżnienia. Za wyjątkowe zaangażowanie nagrody pieniężne starosty słupskiego otrzymali: Mariusz Wiśniewski, Wojciech Motyl, Mariusz Gomaracki, Roman Trzaskuś, Karol Rybicki, Robert Bubela, Dariusz Makowski i Marian Pietrasz. Nagrody rzeczowe za wzorowe wykonywanie obowiązków służbowych oraz wyjątkowe poświęcenie - Anna Lipińska, Piotr Kalinowski i Wiesław Paliczek.

Urząd Miejski w Słupsku przekazał policjantom do użytkowania cztery nowe radiowozy służbowe.

- Bardzo często osiągnięcia policji mierzone są statystykami, ale ja jestem zwolennikiem innej miary, którą spotykamy na co dzień - poczucia bezpieczeństwa i zaufania, jakim jesteście obdarzeni przez naszych mieszkańców. Policja na co dzień jest dobrze postrzegana, ludzie doceniają Was za to, że idziecie z pomocą i jesteście tam, gdzie trzeba ścigać przestępców, ale również i tam, gdzie należy stosować prewencję czy wychowywać młodzież - powiedział starosta słupski Sławomir Ziemiałowicz.

Maria Matuszewska



Fot. M. Matuszewska

Fot. Archiwum

- Do konkursu w tym roku zgłosiło się 68 ekip kucharskich z Polski i zagranicy. Jak to się stało, że znalazł się Pan razem z Tomaszem Rudnikiem w ścisłej czołówce i jako jeden z dwunastu zespołów zostaliście zaproszeni do udziału w VII Dorszowych Żniwach?

- W maju tego roku wzięliśmy udział w Europejskim Festiwalu Smaków, który był organizowany przed słupskim ratuszem. Nasza ekipa zajęła pierwsze miejsce w grillowaniu w konkursie profesjonalistów oraz drugie w kategorii „Młode Talenty”. Otrzymaliśmy dwa certyfikaty i tytuł Smak Pomorza 2010. W jury m.in. byli mistrz świata BBQ Krzysztof Szulborski i jeden z najlepszych kucharzy w Polsce, Andrzej Ławniczak, którzy zachęcali do udziału w Dorszowych Żniwach. Po zapoznaniu się z regulaminem, gdzie warunkiem jest przyrządzenie potraw na grillu, opracowałem recepturę, technologię, zrobiłem zdjęcia i wysłałem zgłoszenie. Nie ukrywam, że było mi niezwykle miło, gdy zostałem zaproszony do wzięcia udziału w finałowych zmaganiach.

- Czym Pan chce zaskoczyć czy oczarować niezwykle liczne jury konkursowe?

- Oczywiście potrawami, które proponowałem jako danie konkursowe. Poza tym mam przygotowany scenariusz naszego uczestnictwa, ale na razie nie mogę zdradzić jego szczegółów. Chcemy pokazać pewną „sztuczkę” i mam nadzieję, że będziemy zauważeni. Na tego typu konkursach jest to niezwykle ważne, by zwrócić na siebie uwagę.

- Opowiada Pan z tak ogromną pasją o swojej pracy, restauracji, więc sądzę, że kryje się za tym wielka miłość do gotowania. Jak dawno się ona zrodziła...

- Z relacji rodziców wiem, że mając kilka lat, przygotowywałem dla nich niedzielne śniadania, a w szkole podstawowej wymusiłem na mojej mamie, aby zapisała mnie do „Praktycznej Pani” na kurs

Zamiast biegać po podwórku, uczyłem się gotowania

O miłości do gotowania z Tomaszem Kunyszem z „Gościńca Słupskiego” w Bydlinie, który wspólnie z Tomaszem Rudnikiem zakwalifikował się na VII Dorszowe Żniwa w Gdyni, rozmawia Maria Matuszewska



Fot. Archiwum

gotowania. Byłem chyba dziwnym dzieckiem, gdyż zamiast biegać po podwórku, uczyłem się z paniami sztuki gotowania.

Na wszystkich imprezach w najmłodszych klasach przygotowywałem proste wypieki cukiernicze. Mój ojciec był kuchmi-



w przyszłości chciałbym wybudować hotel i stworzyć mały zwierzyniec

strzem i szefem kuchni na statku, później stworzył swoje hotele i restaurację. Całą więc swoją młodość pracowałem u ojca, kontynuując tradycje rodzinne. Oczywiście skończyłem szkołę gastronomiczną, w czasie której praktyki zawodowe odbywałem w „Karczmie pod Kluką”. Później tam podjąłem pracę, miałem też krótki epizod ze szkołą wojskową. Jednak po dwóch latach stwierdziłem, że to nie dla mnie. Po powrocie pracowałem u ojca i po jednym sezonie podjąłem decyzję o wyjeździe do Niemiec.

- Czy praca na Niemczech pozwoliła Panu rozwinąć kulinarne rzemiosło?

- Oczywiście. W tamtych czasach, a był to koniec lat osiemdziesiątych, w Polsce była kulinarna pustynia. Po osiedleniu się w Niemczech, rozpocząłem pracę w Rendsburgu w regionie Szlezwik-Holsztyn. Pierwszą podjąłem w restauracji, w której wytwarzano piwo i tam byłem młodszym kucharzem. Przez lata doskonaliłem umiejętności w niemieckich hotelach i restauracjach. Moim zdaniem, prawdziwy kucharz przez pierwsze dziesięć lat powinien pracować w dziesięciu restauracjach po roku, aby nie być „kucharzem jednego garnka”.

- Kiedy wrócił Pan do kraju i czy był jakiś szczególny powód? A może to zwyczajna tęsknota za krajem?

- Do Polski wróciłem czternaście lat temu. Będąc jeszcze w Niemczech prowadziłem z bratem ośrodek wczasowy koło Koczały, więc przyjazdy do kraju bardzo się nasiliły. Głównym jednak powodem przyjazdu na przepiękną ziemię słupską były sprawy osobiste. Po powrocie pracowałem u ojca w Rowach, a później już rozpocząłem swoją działalność. Najpierw była to „Chaty Macochy” w Słupsku. Kolejnym etapem była realizacja moich marzeń, a jest nim „Gościniec Słupski”. Miejsce w Bydlinie, gdzie stoi moja restauracja, podobalo mi się od wielu lat. Jestem niezwykle szczęśliwy, że właśnie w tym miejscu mogę mieszkać i pracować.

- Jeżdżąc często do Ustki, widzę jak prężnie rozwija Pan swoją działalność. Jakie ma Pan plany na najbliższy okres i czy myśli Pan o udziale w kolejnych konkursach kulinarnych?

- Położenie posesji w pobliżu rzeki powoduje, że w przyszłości chciałbym wybudować hotel i stworzyć mały zwierzyniec. Natomiast na najbliższy czas

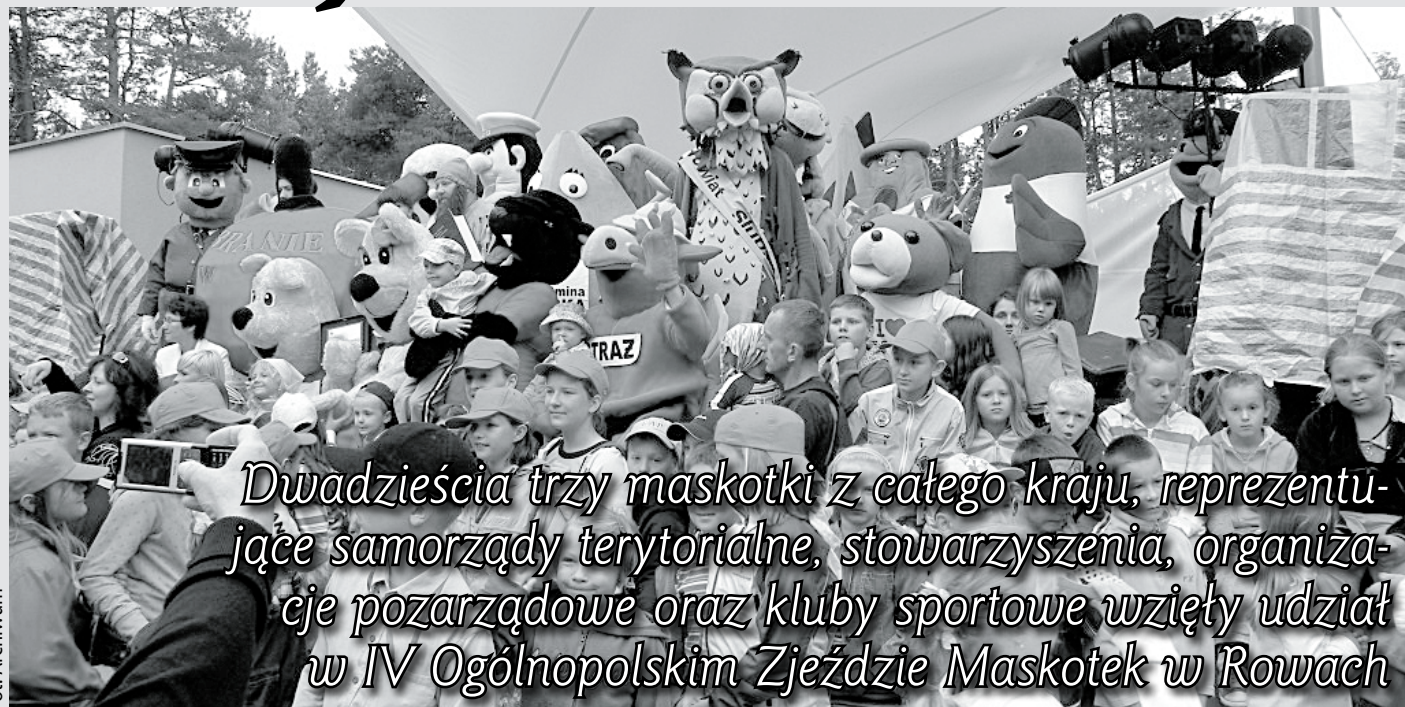


Fot. M. Matuszewska

planuję rozwijać się kulinarnie i brać udział w różnych konkursach krajowych, a nawet zagranicznych. Mam wiele różnych pomysłów na ciekawe imprezy, więc będę je również chciał zorganizować u siebie. W ciągu najbliższych dni zrobię wszystko, aby jak najlepiej wy-

Rowy kolorowe od m

szósty ogólnopolski zjazd maskotek



Fot. Archiwum

Dwadzieścia trzy maskotki z całego kraju, reprezentujące samorządy terytorialne, stowarzyszenia, organizacje pozarządowe oraz kluby sportowe wzięły udział w IV Ogólnopolskim Zjeździe Maskotek w Rowach

Skupienie tylu maskotek w jednym miejscu wymaga nie lada zachodu. Małgosia Żabicka - inicjatorka dziecięcego przedsięwzięcia nie szczędziła starań, aby IV Ogólnopolski Zjazd Maskotek w Rowach móc nazwać imprezą na wysokim poziomie. Tym razem maskotki miały możliwość prezentacji swoich umiejętności na nowej estradzie, której twórcy nadali kształt okrę-

tu. Cóż się tam działo? Miejska Biblioteka Publiczna przygotowała namiot urodzinowy, obchodząc wraz z małymi turystami pierwsze urodziny swego Koszałka Opalka. Maskotka Biblioteki bez swojej towarzyszk Sierotki Marysi nie mogłaby błyszczeć. Sierotka zabawiała dzieci przeróżnymi formami: artystyczne malowanie twarzy, zabawa w bańki mydlane, tańce i konkursy. Stoisko

Biblioteki oblegały tłumy fanów Koszałka i Sierotki. Szkoda, że nie można ich skłonić - padł miły okrzyk z tłumu.

Obok stoiska urodzinowego Koszałka Opalka zainstalowała się ekipa z gminy Kępice. Po raz pierwszy w Rowach pojawił się Jeżyk Grzybik z Kępic, który zgodnie z zamierzeniem twórców ma symbolizować wytrwałość i piękno przyrody. I rze-



paść na Dorszowych Żniwach w Gdyni. Najważniejsze jednak jest to, że uda się nam zdobyć wiedzę i doświadczenie, co pozwoli na lepsze przygotowanie się do innych konkursów. Będziemy mogli startować w przyszłym roku już z innej, lepszej pozycji.

Ekipa z powiatu słupskiego wzięła udział po raz pierwszy w Międzynarodowych Mistrzostwach Polski VII Dorszowe Żniwa - 26-29 sierpnia w Gdyni. 26 sierpnia dwuosobowe ekipy musiały stawić się w

hotelu Gdynia i uczestniczyły w odprawie o godz. 20.30. Następnego dnia zawodnicy wypłynęli kutrem na pełne morze. Ich zadaniem było złowienie na wędkę dorszy - głównego produktu do skomponowania konkursowych dań. Po powrocie z łowiska uczestnicy mieli możliwość zamarynowania ryb w kuchni hotelowej pod nadzorem członków komisji sędziowskiej. Przyrządzanie potraw rozpoczęło się 28 sierpnia o godz. 12 na Bulwarze Gdynskim w Gdyni i trwało osiem godzin. Zmagania i przyrządzone potrawy oceniały dwie dziesięcioosobowe komisje sędziowskie: jury profesjonalistów oraz jury VIP-ów, a przewodniczącym Dorszowych Żniw 2010 był Giancarlo Russo. Ogłoszenie wyników odbyło się wieczorem w Akwariu Morskim podczas Gali Diner. Tomasz Kunysz i Mariusz Rudnik z Gościńca Słupskiego zajęli szóste miejsce. Zwyciężyli Maciej Świdorski i Tomasz Hartman z restauracji Wieża Ciśnień z Wrocławia. Tomasz Kunysz otrzymał specjalne wyróżnienie i medal od sędziów niemieckich. Uhonorowano go także sympatycznym odznaczeniem i zaproszeniem do Klubu Miłośników Kuchni Niemieckiej działającego we Flensburgu (M.M.)

askotek

czywiście coś w tym Jeżyku jest. Bawił się przednio z całą maskotkową ekipą. Z gminy Słupsk przyfrunął Bocian Kacper, na widok którego dzieci aż piszczały. Żaby były pewnie mniej radosne. Niezwykłą atrakcją okazał się Miś Uszatek - oryginalna maskotka Fundacji SE-MA-FOR. Tłumy dzieci sprawdzały, czy Miś rzeczywiście ma „klapnięte uszko”. Niezaprzeczalnie w tłumie brylował Pasikonik Gustek - gospodarz imprezy, który częstował wszystkich przybyłych gości wielkim śmietankowym tortem.

W plebiscycie na Najsympatyczniejszą Maskotkę zwyciężyły Słoneczne Misie: Miś Słoneczko i jego partnerka Słoneczna Misia. Najmilsza para reprezentowała Stowarzyszenie Oliwskie Słoneczko.

Podczas imprezy kwestowano na rzecz powodźian. W słowach wójta gminy Ustka, Anny Sobczuk-Jodłowskiej czuć było radość i dumę z przedsięwzięcia. W niedzielę kolorowe maskotki pożegnały się z dziećmi na scenie. Impreza zakończyła się wielkim polowaniem na maskotki z aparatami fotograficznymi różnego kalibru. Zmęczona powiatowa Sowa wcisnęła swoją mądrą głowę pod pachę i odeszła w sobie tylko znaną stronę. Sierotka Marysia pomachała wszystkim na pożegnanie. Zjazd się zakończył. Pozostały uśmiechy we wspomnieniach dzieci, mnóstwo fotografii oraz reportaż fotograficzny Krzysztofa Skrzypca dostępny w Bałtyckiej Bibliotece Cyfrowej

Danuta Sroka, Słupsk



Fot. RDLP Szczecinek

Wyróżnienie od leśników

Starosta słupski otrzymał nagrodę „Kordelas Leśnika Polskiego”

Nazwa nagrody nawiązuje do noża myśliwskiego, używanego w Polsce w latach międzywojennych. Z czasem stał się on stałym elementem ubioru, a jego rękojeść (drewniana, żelazna lub srebrna) była oznaką pozycji w leśnej hierarchii.

Nagroda ta jest przyznawana od 1996 roku osobom, które przyczyniają się do rozwoju Lasów Państwowych i gospodarki leśnej.

Starosta Sławomir Ziemiałowicz został nią uhonorowany podczas obchodów 65-lecia Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinku. (M.M.)



Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie miało swoją odśłonę telewizyjną

Pokazali w telewizji

podnosi atrakcyjność turystyczną i kulturalną polski

23 lipca br. na antenie TVP 1 (o godz. 16.20) widzowie mieli możliwość poznania historii utworzonego w odrestaurowanym budynku XVIII-wiecznej wozowni - Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie, jak również wykorzystania nowoczesnej technologii w zabytkowym obiekcie. Centrum wyposażone jest bowiem w pracownię komputerową, sale konferencyjne i stanowi ciekawą ofertę edukacyjną i kulturalną zarówno dla mieszkańców Pomorza, jak i dla turystów.

9 lipca w TVP1 ruszył nowy program pt. „Polska pięknieje”. W każdy poniedziałek, środę i piątek aż do 27 sierpnia były prezentowane projekty, które podnoszą

atrakcyjność turystyczną i kulturalną Polski. Cykl reportaży był ściśle powiązany z przewidzianym na jesień tego roku finałem konkursu Polska Pięknieje - 7 Cudów Funduszy Europejskich zorganizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego. Po raz pierwszy wyboru najciekawszego projektu mogli dokonać Internauci.

Za projekt „Utworzenie Centrum Edukacji Regionalnej na bazie odrestaurowanej wozowni w Warcinie” starosta słupski Sławomir Ziemiłowicz 24 maja br. odebrał nominację do nagrody głównej w III edycji konkursu, w kategorii Obszary Wiejskie. Kapituła spośród ok. 130 zgłoszonych projektów nominowała dwadzieścia jeden z całej Polski, w siedmiu kategoriach, w tym warcińskie centrum.

W czerwcu Ministerstwo Rozwoju Regionalnego wydało publikację „Najlepsze projekty dla rozwoju polskich regionów”.

Na niemal dwustu stronach przedstawione zostały najwyższej ocenione projekty zrealizowane w latach 2004-2008 w ramach Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego. Autorzy przedstawili obiekty, które poprzez swój rozwój wpłynęły na atrakcyjność regionu. Inwestycje zostały wybrane z wielką pieczołowitością. Wyselekcjonowane zostały projekty należące do różnych dziedzin (środowisko, edukacja, drogi, kultura) i są dowodem na kreatywność i pomysłowość beneficjentów.

Inwestycja powiatu słupskiego została doceniona za walory i wartość kulturalną zespołu pałacowo-parkowego. Autor publikacji podkreślił nieocenioną rolę edukacyjną, jaką pełni centrum, a także jego funkcję w zakresie promocji regionu słupskiego.

Maria Matuszewska

Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku

Dostali energii

Trzydzieścioro siedmioro uczniów z Zespołów Szkół ze Stobiernej i Podgrodzia w gminie Dębica (woj. podkarpackie) wypoczywało nad Bałtykiem



Fot. Archiwum

Pobyty dzieciom zorganizowała dyrektor Gimnazjum im. Czesława Miłosza w Dębicy Kaszubskiej - Beata Spierewka-Tyrkinhejm. Dzieci przebywały w powiecie słupskim w dniach 11-20 lipca i miały okazję brać udział w spływie kajakowym szlakiem papieskim, zwiedzić przedwojenną elektrownię wodną w Gałąźni Małej, zabytkową Szkołę Społeczną im. Jana Pawła II

w Niepogłędziu, spotkać się z pracownikami Gminnego Ośrodka Kultury, poznać Urząd Gminy w Dębicy Kaszubskiej, uczestniczyć w niedzielnej mszy świętej „na wodzie” i brać udział w spektaklu pt. „Mały Książę” w Niepogłędziu na jeziorze Głębokim.

Dzieci jeździły też na plażę do Łeby, Ustki i Rowów, poznały ruchome wydmy w Łebie, Słowiński Park Narodowy i odbyły

rejs statkiem pirackim „Dragon”. Organizatorzy zadbali również by odwiedziły wesołe miasteczko, były w kinie, wzięły udział w warsztatach tanecznych, zwiedzili najciekawsze miejsca Słupska i Ustki.

Takie wakacje, które nazwano „Lato, dodaj nam energii na cały rok” bardzo podobają się dzieciom.

Beata Spierewka, Dębica Kaszubska

wakacje dzieci

Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie powstał dzięki staraniom władz wojewódzkich i został sfinansowany ze środków Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej. Rozpoczętą w 1993 roku budowę zakończyło Starostwo Powiatowe w Słupsku, przekazując obiekt do użytku w 2000 roku. Usytuowano go w starym parku z ciekawym drzewostanem, przy trasie turystycznej do Słowińskiego Parku Narodowego (uznanego w 1977 roku za Światowy Rezerwat Biosfery), Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach oraz w pobliżu atrakcyjnych nadmorskich miejscowości wczasowo - turystycznych.

Marianna Kawiecka, dyrektor DPS: - Największą satysfakcję mam ze zwiększenia liczby miejsc o połowę. W dniu otwarcia domu było ich siedemdziesiąt, obecnie zamieszkuje u nas sto siedem osób. Pozwoliło to zlikwidować kolejkę oczekujących, a jednocześnie poprawić znacznie naszą sytuację finansową. Każde nowe miejsce to dodatkowe środki finansowe na nasze potrzeby. Wygospodarowanie kolejnych miejsc nie pogorszyło standardów. Wręcz przeciwnie - warunki mieszkaniowe jeszcze znacznie się poprawiły. Zwiększając ilość miejsc, wykorzystujemy wszystkie możliwości. Poprzednie moje doświadczenie (przez kilkanaście lat zajmowałam stanowisko dyrektora Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej w Słupsku, około roku byłam dyrektorem PCPR) nauczyło mnie też właściwego doboru pracowników. Jestem z nich zadowolona i wdzięczna, że dzięki nim mogę odpowiedzialnie pełnić swoją funkcję. Obdarowana szacunkiem naszych mieszkańców - czuję się naprawdę szczęśliwa.

Monika Bill, kierownik działu terapeutycznego: - Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie jest przeznaczony dla osób przewlekle psychicznie chorych. Najczęściej występującymi schorzeniami u naszych mieszkańców są: schizofrenia, zespół psychoorganiczny - otępienny, zaburzenia lękowe, zaburzenia depresyjne i urojeniowe. Wiele osób cierpi również na współistniejące schorzenia somatyczne. Nad stanem zdrowia mieszkańców zawsze czuwają pielęgniarki i opiekunowie. Opieka pielęgniarska jest całodobowa. Mieszkańcy zawsze mogą liczyć na fachową pomoc i stałą opiekę lekarza rodzinnego, lekarza psychiatry, stomatologa czy psychologa. Prowadzimy stałą obserwację stanu zdrowia podopiecznych i współpracujemy z innymi placówkami leczenia specjalistycznego. Zajęcia terapeutyczne dobierane są indywidualnie, mają różne formy rehabilitacji. Podopieczni mają też możliwości samorealizacji pod okiem fachowców o różnych specjalnościach. Posiadamy stosowne do potrzeb - pomieszczenia i pracownie terapeutyczne, świetlice, kawiarenki, boisko rekreacyjne oraz kaplicę, w której nasi mieszkańcy uczestniczą w nabożeństwie

Miłość jest naszym domem



Fot. J. Maziejuk

niedzielnym. Dysponując doświadczonymi pracownikami socjalnymi, pomagamy mieszkańcom w rozwiązywaniu codziennych problemów: regulowaniu świadczeń, załatwianiu turnusów rehabilitacyjnych, podtrzymywaniu kontaktów z rodziną itp. W naszym domu pracuję od początku jego powstania. Moje medyczne wykształcenie, doświadczenie nabyte w pracy pomagają mi wywiązywać się z powierzonych obowiązków. Dobra znajomość podopiecznych w naturalny sposób wytworzyła atmosferę przyjaźni, zaufania i emocjonalnej więzi. Po tylu latach wspólnej znajomości, życzliwości i wspierania się - mamy poczucie rodzinności.

Sensu naszej pracy w DPS należy dostrzekać się we wspólnocie uczuciowej, łączącej nasze zainteresowanie i zaangażowanie z życiem naszych pod-

Pomimo że „miłość jest domem, w którym wiecznie możemy mieszkać” - mam ostatnie już życzenie: Kiedy umrę - nie posyłajcie mnie do nieba! Poślijcie mnie - na obiady do DPS w Lubuczewie!



Fot. J. Maziejuk

opiecznych. Nie ma i nie może być tu miejsca na moralną czy uczuciową pustkę, „bo człowiek – to przeciwieństwo obojętności”. Widoczne u naszych mieszkańców jakiegokolwiek objawy zadowolenia stanowią dla nas podstawę zachęty dalszego czynienia dobra. Tu powtórzę za Albertem Camusem: „...teraz zadawała mnie ich milcząca obecność, ich drobne uczucie; ich szlachetne odruchy mają dla mnie wartość objawienia”.

Zredukowany przez chorobę obraz człowieka, nie może kojarzyć się nam ze

zmarginalizowaniem jego oczekiwań od życia. Personalne traktowanie naszych podopiecznych jest nie tylko naszą powinnością, ale i świadomym działaniem. Starość i choroba nie są odejściem od życia, tylko jego wypełnieniem. Ponadto, życie każdego człowieka ma jednakową wartość w tym sensie, że jednakowo podlega prawnej i moralnej ochronie. Taki jest ogólny sens i wartość naszej pracy.

Pomimo różnic w specjalizacji zawodowej, światopoglądzie, mentalności i

osobowości – łączy nas jedno: pracę swoją traktujemy nie tylko jako „zewnętrzny nakaz”, co z „wewnętrznej potrzeby”. To typowa w naszym Domu postawa wszystkich zatrudnionych pracowników.

Do jubileuszu dziesięciolecia dodam jeszcze swoją osobistą refleksję. Za kilka dni będę świętował 35-lecie pracy zawodowej. Pomyślałem sobie, że nikt nie napisze o mnie ładniej niż ja sam. Porzekadło mówi, że „maszyna jest tak dobra, jak najslabsza z jej części”. Współpracując zawsze z ludźmi, mam już prawo poczuć się wartościową i kompetentną częścią tej maszyny. Do pracy w DPS zostałem przyjęty w 2001 roku na stanowisko instruktora k.o., a wcześniej pracowałem w oświacie, później – w kulturze. Teraz pracuję z ludźmi niepełnosprawnymi, jednak o ciekawych zainteresowaniach i osobowościach. Stwierdzam, że tożsamość i bycie człowiekiem kultury to wprawdzie trudne życie, jednak warte przeżycia.

Pomimo że „miłość jest domem, w którym wiecznie możemy mieszkać” – mam ostatnie już życzenie: Kiedy umrę – nie posyłajcie mnie do nieba! Poślijcie mnie – na obiady do DPS w Lubuczewie!

Klemens Rudowski

Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie

Około 150 osób wzięło udział w dorocznym, ósmym już Rajdzie Rowerowym Osób Niepełnosprawnych im. Stanisława KądzIELI

Skróćli trasę rajdu



Pomysł rajdu zrodził się w 2003 roku w Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie – po śmierci pierwszego starosty słupeckiego. Start tegorocznej edycji rajdu odbył się 24 lipca. Sprzed budynku starostwa uczestnicy rajdu udali się na Cmentarz Komunalny w Słupsku, gdzie delegacja ze starostą Sławomirem Ziemianowiczem złożyła kwiaty na grobie śp. Stanisława KądzIELI. Następnie wszyscy ruszyli ulicą Kaszubską, a potem bezdrożami w kierunku DPS w Machowinie.

W tym roku wyjątkowo nieprzychylna pogoda (ulewny deszcz) zmusiła organizatorów do skrócenia trasy rajdu. Nie dojechał on do Machowinka, tylko z Machowina cykliści bezpośrednio udali się do Lubuczewa, gdzie na wszystkich czekała już gorąca grochówka, dania z grilla i występy artystyczne.

W rajdzie do końca uczestniczył starosta S. Ziemianowicz i radny wojewódzki – Marek Biernacki. Tradycyjnie uczestniczyli w nim też dyrektorzy i mieszkańcy wszystkich domów pomocy społecznej z powiatu, a także zainteresowani turyści. (K.R.)

Fot. J. Maziejuk

Laureaci nagród w kulturze

Jerzy Ryszard Lissowski w tym roku obchodzi 55-lecie nieprzerwanej pracy twórczej, dziennikarsko-publicystycznej. Od siedmiu lat pisuje do Biuletynu „Powiat Słupski”. Jak podkreślają niektórzy recenzenci: „jego recenzje wyniosły na wyżyny literackie skromny biuletyn powiatowy”. Z dziennikarstwem zetknął się i związał bliżej w Lublinie już w roku 1954, zostając stałym współpracownikiem miejscowych gazet - „Sztandaru Ludu” i „Kuriera Lubelskiego”, a trochę później - redaktorem okręgowym ogólnopolskiego pisma żaków „Od Nowa”. Niebawem przejął obowiązki szefa redak-

cjącom ruszyli na pomoc franciszkanie z Gdańska. Chcieli utrzymać szkołę przy życiu, a w zamian z części pałacu zrobić ośrodek rekolekcyjny. Na miejsce przystali księdza, który doprowadził do podpisania umowy między zakonem a gminą na prowadzenie szkoły. Ta zaczęła funkcjonować. Jednak po trzech latach zakon wycofał się z jej współfinansowania. Franciszkanie stwierdzili, że placówka w Niepogłędziu jest nierentowna i generuje długi dla zgromadzenia. Na miejscu pozostał jednak ks. Ryszard Iwanowski. Zakon chciał, żeby wyjechał z Niepogłędzia, ale on za wszelką ce-

Podczas Powiatowych Obchodów Dnia Działacza Kultury w Damnicy wręczone zostały roczne nagrody Starosty Słupskiego w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony dóbr kultury. W tym roku laureatami najwyższej nagrody - „Białego Bociana 2010” zostali: Jerzy Ryszard Lissowski - dziennikarz, publicysta, poeta ze Słupska, ks. Ryszard Iwanowski - prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Niepogłędzia i Gałęzowa „Speranda” i Słupska Kapela „Zgoda”



Fot. J. Maziejuk

cji utworzonej kolumny studenckiej pn. „Konfrontacje” - cotygodniowego dodatku do „Kuriera”. Od 1965 pisał coraz częściej i do środkowopomorskich periodyków historycznych, kulturalnych i regionalnych. W latach 1970-1975 nawiązał systematyczną współpracę z „Głosem Koszalińskim”, „Pobrzeżem” oraz gdańskim tygodnikiem „Czas”. Gdy osiadł w Słupsku w roku 1975, często publikował na łamach „Głosu Pomorza”. Z końcem 1978 roku został w „Głosie” etatowym dziennikarzem. Jest autorem m.in. publikacji zwartych: „Pomorskie uroczyska. Między Słupią, Łebą i Brdą”, „Żywa legenda regionu nad Słupią”. W tym roku zostały zaprezentowane jego wiersze w najnowszej antologii poezji wiejskiej „Łzy jeszcze nie wyschły”.

W 1999 roku z inicjatywy mieszkańców wsi Niepogłędzie i Gałęzowo, przeciwstawiających się próbom likwidacji Szkoły Podstawowej w Niepogłędziu, powstało Stowarzyszenie „Speranda”. Miesz-

kańcom postanowił dokończyć rozpoczętą misję. Za nieposłuszeństwo wobec przełożonych, we wrześniu ubiegłego roku, po siedmiu latach od wycofania się franciszkanów ze szkoły, został wykluczony z zakonu. Próbował się dowoływać, ale bezskutecznie. Dzisiaj stowarzyszenie prowadzi w pałacu społeczne szkoły: podstawową, gimnazjum i przedszkole. Nauką objęte są dzieci z 12 popegeerowskich wsi. Nauka pozostaje bezpłatna. Dzieci są dowożone własnym transportem stowarzyszenia, który również jest bezpłatny. Stowarzyszenie prowadzi i utrzymuje świetlicę wiejską w Gałęzowie. W listopadzie 2006 roku otworzyło też LOKALNE CENTRUM KULTURY.

Słupska Kapela „Zgoda” istnieje od 2003 roku, założyła ją p. Henryka Jurałowicz. Kapela powstała z potrzeby serca muzyków kochających śpiew i grę na ludowych instrumentach. Szczególnie bliska stała się jej muzyka kaszubska. I właśnie w tym kierunku podjęli pracę nad repertuarem.

Członkowie kapeli zaczęli uczyć się też języka kaszubskiego. Dziś w tym języku wykonują większość swoich pieśni. Od kilku lat współpracują z Filharmonią Jeleniogorską, która każdego roku zaprasza ich, aby w tamtym odległym dla nich regionie, szerzyli kulturę kaszubską. Odwiedzili już ponad sto dwadzieścia placówek jeleniogórskich. Cenią sobie udział we wszystkich imprezach, na które są zapraszani. Kapelę tworzą: Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Danuta Grabowska-Lenterbach, Andrzej Konieczny, Józef Kurzydło i Władysław Lenterbach.

Laureatami nagród pieniężnych zostali: **Wojciech Czubajewski z Kępic, Czesława Długoszek z Objazdy, Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubskiej, Czesław Guit z Lubunia, Mirosław Kościeński ze Słupska, Barbara Julia Krasnoborska z Potęgowa, Aldona Magdalena Pelplińska z Motarzyna, ks. Jacek Popławski - proboszcz Parafii pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Kwakowie, zespół wokalny „Potęgowieńki” działający przy Gminnym Ośrodku Kultury w Potęgowie, Danuta Sroka - kierownik Działu Promocji i Informacji Regionalnej w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku, Halina Święch - instruktor teatralny, pedagog, inicjator i pomysłodawczyni wielu przedsięwzięć kulturalnych i Ewa Wyrzykowska z Krępy Słupskiej.**

Wojciech Czubajewski jest rzeźbiarzem - samoukiem. Rzeźbi z pasją. Postacie, jakie tworzy, to głównie rybacy, drwale, muzycanci przedstawiani podczas codziennych zajęć. Prace jego cechuje dojrzałość i wysoki poziom artystyczny. Z żoną prowadzi gospodarstwo rolne i drugą jego pasją są konie. Jest ponadto twórcą utwo-

rów szantowych, rysownikiem, potrafi grać na akordeonie, gitarze i harmonii.

Czesława Długoszek pozostała wierna swojej rodzinnej wsi. Poczytuje sobie za honor mieszkać w Objeździe i być wśród swoich. Polonistka, od kilku lat na emeryturze. Piękny czas trzeciego wieku wykorzystuje, odkrywając uroki i tajemnice ziemie słupskiej we współpracy z wiejskimi poetami. Od dwóch lat pisze i publikuje na łamach „Powiatu Słupskiego” reportaże o



Fot. J. Maziejuk

wsiach i ludziach regionu słupskiego. Przywraca pamięć starych dokumentów i świadectwa pierwszych mieszkańców podślupskich wsi, zachęcając ich do współpracy w spisaniu wspomnień.

Jerzy Fryckowski jest nauczycielem w Szkole Podstawowej w Dębicy Kaszubskiej, ale przede wszystkim poetą, satyrykiem, krytykiem literackim, animatorem

kultury. Opublikował jedenaście indywidualnych tomików poezji i jest autorem dwóch antologii poezji, wielu artykułów, omówień, prezentacji. Jego wiersze znajdują się ponadto w ponad dwustu almanachach i antologiach poezji. Stypendysta Starosty Słupskiego w 2008 roku. Laureat „Białego Bociana” w 2003 roku.

Czesław Guit to instruktor-modelarz, malarz, rzeźbiarz na szkło i płótnie. Tworzy i organizuje wystawy. Ich tematyka to: Wspomnienia z Canarów; Bitwy morskie i żaglowce, morze; Modelarstwo w butelkach, pokłady i armaty morskie; Portrety na szkło grawerowane; Pejzaże i krajobrazy, Las: pomniki przyrody, drzewa; Theatrum zimowe: Lubuń 2005/2006; My z Lubunia - Grafika na szkło - portrety sąsiadów; My z krainy w kratę: obiekty stare, szachulcowe, kościoły, zabytki z okolic. Przekazał 30 prac słupskiemu hospicjum na aukcję charytatywną. Modele statków średniowiecznych pokazał m.in. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku.

Mirosław Kościeński jest poetą o znaczącym dorobku literackim, wiceprezesa oddziału Słupskiego Związku Literatów Polskich. Od wielu lat współpracuje ze słupskim starostwem, wspierając działania Grupy nieprofesjonalnych poetów wiejskich. Jest pierwszym recenzentem wierszy tych poetów. Współredaguje i wybiera teksty do antologii poezji wiejskiej i indywidualnych tomików poetyckich. Ma szczególny dar współpracy z amatorami i wychwytywania wiejskich talentów. Przywiązuje dużą wagę do aktywności amatorów i tradycji wiejskich w kulturze polskiej. Wydobywa na światło dzienne współczesne wartości tej kultury.

Barbara Julia Krasnoborska dała się poznać jako znakomity animator i współ-

W rodzinnym Białogardzie

W jednym z obiektów po armii radzieckiej, po kosztownym remoncie i modernizacji urządzono w Białogardzie (woj. zachodniopomorskie) nowoczesne Centrum Rehabilitacji, które służy nie tylko mieszkańcom tego miasta

Badania archeologiczne potwierdzają istnienie białogardzkiego grodziska, położonego w widłach Parsęty i Leśnicy, już w VIII wieku, a Gall Anonim w opisach z 1102 i 1107 roku dostrzegł tu gród o królewskim splendorze. Dziś Białogard, liczący około dwudziestu pięci tysięcy mieszkańców, zasłużenie chlubi się wieloma starannie odnowionymi zabytkowymi kamienicami, zmodernizowanymi i rozbudowanymi obiektami publicznymi, godnymi uwagi placówkami kulturalnymi i oświatowymi, znanymi nie tylko z krajowych osiągnięć klubami i organizacjami, a także korzystnym zagospodarowaniem po 1993 roku ogromnego majątku po dawnych jednostkach armii radzieckiej. W jednym z takich obiektów, po kosztownym remoncie i modernizacji, urządzono nowoczesne Centrum Rehabilitacji, służące nie tylko mieszkańcom Białogardu.

Ostatnio miałem okazję je zwiedzić. Takiego obiektu mogłoby pozazdrościć Białogardowi niejedno miasto wojewódzkie. Taką opinię podzielają również odwiedzający Białogard goście z licznych miast partnerskich: Akniste (Łotwa), Teterow i Ostseebad Binz (Niemcy), Gnosjo (Szwecja), Albano Laziale (Włochy), Maaru (Estonia), Caracas (Rumunia) i Olen (Belgia).

W połowie bieżącego roku miasto znacząco się wzbogaciło i uatrakcyjniło swoje walory promocyjne. Uroczyste otwarto tu w Izbie Tradycji Regionalnej wystawę „Ordery i odznaczenia Aleksandra Kwaśniewskiego - Prezydenta RP w latach 1995-2005”, przy aktywnym wsparciu długoletniego ministra w Kancelarii Prezydenta - Edwarda Szymańskiego.

Kolejna obecność Aleksandra Kwaśniewskiego w rodzinnym mieście stała

organizator. Nauczycielka nauczania wczesnoszkolnego, cały swój wolny czas poświęca na wychowanie muzyczne dzieci i młodzieży. Od 2008 roku jest instruktorem dziecięcej grupy wokalnejszej „Trio”, którą tworzą uczniowie Szkoły Podstawowej w Potęgowie oraz soliści: Nikola Kędra i Maciej Klasa. Zarówno zespół „Trio”, jak i soliści pod jej ręką odnoszą same sukcesy.

Aldona Magdalena Pelplińska działa w nieformalnej grupie poetyckiej „Wtorkowe spotkania literackie”. Pisze od ponad dwudziestu lat, prezentuje twórczość dojrzałą. Autorka tomików wierszy: „Łzy toczą wstążkę na mej twarzy”, „I uszatkę bałwan dostał”.

Ks. Jacek Popławski uratował przed kompletną ruiną kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Kwakowie. Niszczący przez lata obiekt stał się na kruchym fundamencie z piasku. Powiększały się pęknięcia na ścianach, a wielka rysa rozpołowiła XIV-wieczną wieżę, zagrażając jej zawaleniem. Przez osiem lat myślał, jak zdobyć środki na uratowanie kościoła. W 2007 roku razem z ks. Włodzimierzem Malinowskim z Cetynia postanowił sięgnąć po środki unijne. Wspólnie z innymi parafiami pozyskał na remonty kościołów ok. 4 mln zł. Pokazał, że można pozyskiwać środki na ratowanie zabytków sakralnych.

Zespół wokalny „Potęgowieńki” powstał w 1987 roku. Od tego czasu jego członkinie regularnie spotykają się na próbach, by pod czujnym okiem wymagającego szefa i akompaniatora, Zbigniewa Ulaszka ćwiczyć swoje umiejętności wokalne. Śpiewającym paniom akompaniują obecnie Zbigniew Ulaszek - na akordeonie oraz Antoni Adamczak - na skrzypcach.

Danuta Sroka z pasją i zaangażowaniem pracuje na rzecz edukacji, promocji i upowszechniania kultury. Jest autorką realizowanych przez bibliotekę takich projektów, jak Bałtycka Biblioteka Cyfrowa i Społeczna Pracownia Digitalizacji. Współpracuje z lokalnym środowiskiem twórczym, organizuje benefisy, wystawy, promocje książek, szkolenia, warsztaty, konferencje, kursy w ramach współpracy międzyinstytucjonalnej, zajęcia, wykłady, sesje, debaty, lekcje regionalne dla młodzieży szkół ponadgimnazjalnych i studentów. W 2009 roku przygotowała dziewięć wystaw i dziesięć wiążących się z nimi dużych imprez regionalnych.

Halina Święch związana była już z Wojewódzkim Domem Kultury w Słupsku. Pracowała tam jako instruktor teatralny oraz pełniła funkcję kierownika działu doskonalenia kadr. Pod jej skrzydłami rozwijali się instruktorzy pracujący w domach kultury byłego województwa słupskiego. W Ośrodku Teatralnym „Rondo” realizowała się jako współautorka widowisk plenerowych i aktorka. W latach 90. pracowała, jako nauczyciel sztuki w Szkole Podstawowej w Słonowicach, rozpoczęła wówczas współpracę z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Kobylnicy. Jest autorką wielu scenariuszy i tekstów



Fot. J. Maziejuk

wykorzystywanych przez różne placówki oświatowe i kulturalne. Wymyśliła Przegląd Kabaretów Wszelakich „Obciach”.

Ewa Wyrzykowska opiekuje się świetlicą wiejską w Krępie Słupskiej. Jej zasługą jest m.in. pozyskanie funduszy z Fundacji Wspomagania Wsi na realizację projektu „Pożyteczne Ferie 2009” oraz „Pożyteczne Wakacje 2009” - „Moja wieś moją wizytówką”. W trakcie projektu zimowego z jej inicjatywy urządzono wystawę starych sprzętów oraz przygotowano inscenizację teatralną. Z jej inicjatywy zostało też zorganizowane spotkanie z mieszkańcami wsi, na którym prezentowano twórczość Czesława Niemena. Najpopularniejsze utwory piosenkarza wykonali młodzi soliści ze świetlicy. Jest inicjatorką i współtwórczynią Stowarzyszenia „Nasza Krępa” działającego na rzecz kultury. **(ZBZ)**

dzie - orderzy prezydenta



się okazją do przyjacielskiego spotkania z mieszkańcami i gospodarzami zmieniającego swoje oblicze miasta. Burmistrz Zbigniew Raczewski, jego zastępca Małgorzata Stachowiak, a także starosta białogardzki Krzysztof Bagiński, prezentując dokonania samorządowe swoje i swoich poprzedników, nie ukrywali ogromu dalszych zadań i problemów wymagających starań i niemałych nakładów. Wskazywali, że w szczegółach zawiera je strategia rozwoju miasta do 2015 roku, a można odnosić się do niej z optymizmem, bo Białogard, wyróżniony m.in. Dyplomem Europejskim, Flagą Honorową Europy i Statuetką „Złoty Gwiazd Aktywnego Obywatelstwa Europejskiego”, posiadał wyjątkową skuteczność w pozyskiwaniu znaczących funduszy z Unii Europejskiej

Stanisław Kaszyński, Kołodziejewo

prezentacje



„Wioska Dyla”

Przez dziewięć dni mieszkali w wybudowanym namiotowym miasteczku, gdzie życie toczyło się na wzór prawdziwego miasta podzielonego na dwie części - sypialną i miejską - z własnym urzędem i biurem pracy

Dzięki współpracy powiatu słupskiego z powiatem Herzogtum Lauenburg stuosobowa grupa dzieci z Polski i Niemiec mogła atrakcyjnie spędzić wakacje. Pobyt w Runowie, gdzie została zbudowana „Wioska Dyla”, miał zapewnić dzieciom letni wypoczynek i przeżycie niezapomnianej przygody.

Projekt „Zabawa w miasto” został zorganizowany po raz pierwszy w 1999 roku w Mölln w Niemczech i od tej pory realizowany jest tam co dwa lata. Miasteczko w Niemczech zostało nazwane Tillhausen, a w Polsce - „Wioska Dyla”. Przez dziewięć dni uczestnicy mieszkali z opiekunami w wybudowanym namiotowym miasteczku, gdzie życie toczyło się na wzór prawdziwego miasta podzielonego na dwie części - sypialną i miejską - z własnym urzędem i biurem pracy. Znalazły się w nim różne instytucje, w których dzieci codziennie uczestniczyły w zajęciach, a za „pracę” otrzymywały zapłatę w słupkach.

Gama zawodów do wyboru była duża: od bycia parlamentarzystą, poprzez radiowców, dziennikarzy prasowych, po profesjonalnych sportowców, rzemieślników czy bankierów. Młodzi mieszkańcy miasteczka mogli wypłacać koszyki, wytwarzać biżuterię, wyroby ze skóry czy ozdoby z bursztynu. Dzieci codziennie zgłaszały się do urzędu pracy po skierowanie do wybranego projektu, a po zakończonej pracy

otrzymywały czek, z którym mogły pójść do banku po wypłatę gotówki w walucie miasteczka. Pracowały dwa razy dziennie, za każdym razem mogły wybrać inne zajęcie. Przygotowano siedemnaście instytucji i warsztatów, które prowadzili polscy

rii można było kupić sałatki, napoje i różne słodkości.

Pierwszego dnia dzieci z każdej grupy namiotowej wybrały swoich przedstawicieli do rady miasta, a następnie spośród nich, po kilkudniowej kampanii, najlepszy



Fot. J. Maziejuk

i niemieccy animatorzy. Po skończonych zajęciach wszyscy spotykali się na placu głównym, gdzie odbywała się prezentacja i sprzedaż wyrobów. W lokalnej kafe-

kandydat został burmistrzem. Wieczorem z tej okazji odbyła się dyskoteka. Po pracy był również czas na zabawę i rozrywkę, chętni mogli pojeździć quadami, zażyć przygód

na ścianie wspinaczkowej, wybrać się na przejażdżkę wozem drabiniastym czy pograć w piłkę. Nie obyło się bez wyprawy nad morze i rejsu statkiem.

W dniach 25-27 lipca polsko-niemiecką wioskę odwiedziła dwudziestoosobowa niemiecka delegacja. Tworzyli ją pracownicy Starostwa w Ratzeburgu, radni, politycy oraz przedstawiciele organizacji młodzieżowych z Niemiec. Goście zwiedzili Słupsk, a po spotkaniu w Starostwie Powiatowym udali się do namiotowego miasteczka, najpierw do Urzędu Meldunkowego, w celu wyrobienia dowodów osobistych, uprawniających do wejścia na jego teren. Brak takiego dokumentu skutkował bowiem

sty słupskiego upominki promocyjne oraz sowę - maskotkę powiatu słupskiego, która symbolizuje mądrość, jaką powinny kierować się wszystkie władze. Od starosty niemieckiego młodzieży władze otrzymali stojak z flagami.

Po dziewięciu dniach „Wioskę Dyla” opuścili jej mieszkańcy. Choć funkcjonowaniu miasteczka towarzyszyły wichury i ulewne deszcze, wszyscy zgodnie żałowali, że „Wioska” zamyka swoje bramy. Podkreślali, że chętnie wzięliby udział w następnym takim projekcie.

Uczestnicy wspólnie spędzanych wakacji udowodnili, że różnice językowe nie stanowią żadnych barier, a owocna współ-



Fot. J. Maziejuk

otrzymaniem mandatu lub usunięciem przez służby porządkowe.

W Biurze Meldunkowym wszyscy otrzymali również czeki bankowe w wysokości 5 słupków, które realizowali w miejscowym banku. Goście z wielkim zaciekawieniem odwiedzili wszystkie miejsca pracy. Jednak największą atrakcją było kupowanie wyrobów wytworzonych przez dzieci, od wiklinowych koszyków, poprzez ramki i szklanki ozdobiane bursztynami i muszlami, na gofrach i kanapkach zrobionych w kafeterii kończąc. Nie zabrakło słów uznania dla świetnej organizacji projektu.

26 lipca na terenie miasteczka odbył się Dzień VIP. Tego dnia w Starostwie Powiatowym w Słupsku odbyło się też wyjątkowe spotkanie. Do starostów powiatu słupskiego - Sławomira Ziemanowicza i Herzogtum Lauenburg - Gerda Krämera przyjechała bowiem delegacja z dziecięcej „Wioski Dyla” - burmistrz Anna Grzybek i jej zastępca Dennis. Po powitaniu przez starostów partnerskich powiatów oraz przewodniczącego Rady Powiatu Słupskiego - Ryszarda Stusa i przewodniczącego Rady Powiatu Herzogtum Lauenburg - Meinharda Füllnera, rozmawiano o kampanii wyborczej i polityce w „miasteczku”. Na pamiątkę pobytu dzieci otrzymały od staro-

praca jest możliwa z każdym bez względu na narodowość. Projekt zapoczątkował wiele przyjaźni. Jego polska edycja wniosła wiele ciekawych pomysłów, co przyznali sami niemieccy partnerzy.

Maryla Matuszewska, Daria Wojtas



Fot. J. Maziejuk

KALENDARIUM

30 czerwca w Gminnym Ośrodku Kultury w Dębnicy Kaszubskiej odbyło się spotkanie dyrektorów instytucji i placówek kulturalnych ze Słupska i powiatu słupskiego.

7 lipca uroczyste obchodzo- no 10-lecie Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie. Uroczystości przebiegały pod hasłem: „I dziesięć lat minęło, czyli powtórka z rozrywki”.

10 lipca odbyły się obchody 65-lecia Szkoły Policji w Słupsku.

22-30 lipca ok. 100 dzieci z powiatu słupskiego, cieszyńskiego oraz partnerskiego księstwa Harzogtum Lauenburg w Niemczech spędzało wakacje w Runowie w ramach realizowanego projektu „Zabawa w miasto - dzieci budują swój własny świat”.

23 lipca w Kobylnicy otwarto nowy posterunku policji.

27 lipca ukazał się tomik limeryków Grzegorza Chwieduka ze Słupska pt. „Limeryko-wisko polskie”.

1 sierpnia w Słupsku obchodzo- no 66. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego.

14 sierpnia zakończył się XX Międzynarodowy Festiwal Brydza Sportowego „Solidarność”.

15 sierpnia w Ustce odbyło się Święto Miasta i Święto Wojska Polskiego.

22 sierpnia delegacja powia- tu słupskiego uczestni- czyła w Dożynkach Powiatowych w Ustroniu - w powiecie cieszyńskim. (G.Ś.)

Wioski tematyczne

W byłej oborze jest teraz piękna sala widowiskowa

W epoce PRL-u ludzie przyzwyczaili się, że ktoś za nich myśli, ktoś daje im pracę. Tak było w PGR-ach, spółdzielniach produkcyjnych. Kiedy stary system się zawalił na początku lat 90. było trudno przyzwyczaić się do nowego. Nie było też konkretnych przykładów na to, jak sobie poradzić z „nowym”. Dopóki na rynku nie pojawiły się takie zakłady pracy jak na przykład duniowski Mopol, to ludziom w Królewcu czy w Pieńkowie w gminie Postomino było naprawdę ciężko.

Po wielu latach budowania nowego w takich Podgórkach okazało się, że niszczone budynki popegeerowskie mogą być

świetnym miejscem na działalność edukacyjną i artystyczną. W byłej oborze jest teraz piękna sala widowiskowa, Jesienią ubiegłego roku odbył się w niej Kongres Wsi. Obecnie przyjeżdżają tu różne grupy, by wspólnie przeżyć coś niezwykłego.

W Sierakowie Sławieńskim niesamowity tłok. Sześć dużych autobusów zatrzymało się na parkingu. Z każdego wysiadło po pięćdziesiąt osób. Wszyscy spragnieni byli spotkania z Hobbitami! Przejście przez trasę gry terenowej, pełnej zasadzek i spotkania z niezwykłymi postaciami - robi wrażenie na uczestnikach. Dla dzieci to okazja, by wyszaleć się. Dla dorosłych - by odkryć

w sobie dziecko. Dla gospodarzy to sposób na życie, zarabianie pieniędzy.

W Dobrzycy na powierzchni czterech hektarów urządzono ogrody w różnym stylu i o różnej tematyce. Można tu ponadto obejrzeć elementy małej architektury ogrodowej, zegary, altany, rzeźby, grotę skalną, stawy. Spacer po ogrodach to doskonała propozycja na każdą pogodę. W dni pochmurne i deszczowe nic tak nie poprawia nastroju jak odpoczynek wśród zieleni w otoczeniu cudownych aromatów. Na czas upału można znaleźć schronienie na ukrytych w cieniu ławeczkach albo udać się na spacer brzegami chłodnego stawu.

W Niepogłędziu odprawiana jest od trzech lat w trzecią niedzielę lipca uroczysta msza święta na wodzie

Modlili się na wodzie

W tym roku, 18 lipca została poprowadzona spływem kajakowym zorganizowanym przez Związek Miast i Gmin Dorzecza

Rzeki Słupi i Łupawy, Gminę Dębica Kaszubska oraz Stowarzyszenie Przyjaciół Niepogłędzia i Gałęzowa - Speranda. W

spływie Papieskim Szlakiem Kajakowym Słupią na trasie Gołębia Góra-Jezioro Głębokie w Niepogłędziu, udział wzięli zaproszeni goście oraz mieszkańcy gmin zrzeszonych w Związku Miast i Gmin Dorzecza Rzeki Słupi i Łupawy.

Modlitwę przed spływem poprowadził ks. Arkadiusz Ćwikliński z diecezji pelplińskiej, który następnie zasiadł w kajaku z początkującym wodniakiem Przemysławem Namysłowskim - dyrektorem Biura Promocji i Integracji Europejskiej Urzędu Miejskiego w Słupsku.

Po dopłynięciu do jeziora Głębokiego uczestnicy spływu wyruszyli w okolice tzw. zamku wodnego, gdzie została odprawiona msza święta na wodzie. Wcześniej zwodowano łódź, która przewiozła na miejsce celebryntę ks. Arkadiusza Ćwiklińskiego oraz prezydenta Słupska - Macieja Kobylińskiego i wójta gminy Dębica Kaszubska - Eugeniusza Dańczaka. Prezydent Kobyliński, pełniący też funkcję przewodniczącego Zarządu Związku Miast i Gmin Dorzecza Rzeki Słupi i Łupawy, osobiście zaangażował się w przystrojenie łodzi do mszy.

O godzinie 18.00, na pływającej scenie na Jeziorze Głębokim ks. Arkadiusz Ćwikliński odprawił mszę Świętą. Po mszy młodzież ze szkół gimnazjalnych i podstawowych z Dębicy Kaszubskiej, Niepogłędzia i Motarzyna wystawiła spektakl pt. „Magiczny Mały Książę”. Przedstawienie powstało na podstawie książki Antoine’a de Saint-Exupéry’ego, w ramach letnich warsztatów teatralnych przy Teatrze Nowym w Słupsku.

**Katarzyna Pańczyk
Słupsk**



Fot. J. Maziejuk

O każdej porze jest tu co podziwiać. I co ważne - mnóstwo zatrudnionych osób przy pielęgnacji ogrodu.

Paproty - to mała wioseczka leżąca trzy kilometry od Malechowa. Tu jest okazja do wspólnych gier, zabaw prostych, nie wymagających wielkich nakładów, ale dających poczucie radości i sukcesu. Trzeba samemu przeżyć ten dreszczyk emocji, kiedy krąży się po labiryntach wykonanych z trzciny lub paproci, tworzy bańkę mydlaną metrowej wielkości lub strzela z lejka.

I jeszcze jednej wiejskiej zagrody nie sposób pominąć. To niewielkie gospodarstwo położone w Tyniu koło Sławna. Na przylegających doń łąkach rzuca się w oczy widok królików żyjących zupełnie na swobodzie. Jest ich mnóstwo, różnej sierści i wielkości. Parę metrów dalej, tuż przy rzece Wieprzy znajdują się dwa piękne stawy, jest drewniany most, są oryginalne ławy do siedzenia, stoły, drewniane taborety. Trawa jest równiutko przycięta, nad stawami - oaza ciszy i spokoju. Za rzeką rozciąga się las. Można powędkować, zrelaksować się, naładować akumulatory...



Fot. J. Maziejuk

To są naprawdę dobre praktyki wiosek tematycznych. We wszystkich tych małych osadach można poznać przykłady aktywności lokalnej, z której płyną same korzyści. To nic trudnego, trzeba tylko

zmienić mentalność ludzi i wykorzystywać to, co się już ma. Można łączyć zabawę z nauką, a fantazji ludziom nie brakuje.

**Jadwiga Michalak
Naćmierz**

Być robotnikiem - cóż to znaczy?



Fot. J. Maziejuk

Czas chmurny i durny, czas wielkich przemian, czas naszej młodości uwikłanej w ścieranie się światopoglądów. Mirosław T. był kierownikiem montażu w zakładach w Poznaniu. Spotkałem go przypadkiem

na plaży w Ustce, w lipcu 1982 roku. Był po niedawnym internowaniu, przesiedział kilka miesięcy. Był przewodniczącym NSZZ Solidarności na jednym z działów dużego zakładu.

Tato wziął mnie za rękę i powiedział: „chodź córeczko pokażę tobie, gdzie zaczęła się wolna Polska”. Kupiliśmy znicz w jakimś sklepie i zaprowadził mnie pod samą podstawę pomnika, tam gdzie zaczynają się trzy krzyże

w 30. rocznicę wydarzeń sierpniowych

- Być robotnikiem w Polsce w okresie od zakończenia wojny po czasy nam współczesne, znaczy znosić pokornie głupotę i arogancję władzy, zrywać się gremialnie do protestów, które wstrząsały krajem kolejno w czerwcu 1956 roku w Poznaniu, w grudniu 1970 roku na Pomorzu, w czerwcu 1976 w Radomiu. I w 1980 roku w Gdańsku. Znaczący tyle, aby mieć nadzieję na godną pracę, na lepsze życie bez zbędnego patosu, na to wszystko, aby wreszcie nie dziedziczyć

ków niż te, które akceptowała ówczesna władza. Jakaż cholera popchnęła mnie do działania, może impulsem było to, że zawsze widziałem niesprawiedliwość i prawie zawsze z nią walczyłem, takimi czy innymi sposobami. Najczęściej były to ulotki rozrzucone podczas obchodów pierwszego maja lub innych komunistycznych świąt. Wdziałem i odczułem na własnej skórze, jak traktuje się robotników. Mówię „traktuj”, bo nic lub prawie nic nie zmieniło się w

wy Taboru Kolejowego w K. Spotkałem się z nim w sympatycznie urządzonej pijalni piwa na jednej z głównych ulic tego wielkiego miasta. Janusz O. umówił się na rozmowę po serii artykułów w „Głosie Wybrzeża” na temat: „Mój czas, moje miejsce na ziemi”. Mechanik, bezkompromisowy w obronie represjonowanych za działalność związkową, sam wkrótce został persona non grata w miejscu pracy. Pod byłą pretekstem wydano go z zakładu. Na portierni wisiała dużych rozmiarów kartka z kilkoma nazwiskami osób, którym zakazano wejścia.

- Było ciężko. Najtrudniej było wytłumaczyć żonie, dlaczego straciłem pracę. Nie wytrzymała próby, po czterech miesiącach odeszła z córeczką do rodziców. Wtedy nie było „kuroniówki”, szukałem pracy, chciałem się przekwalifikować, ale wilczy bilet szedł za mną krok w krok. To wichrzył, słyszałem za plecami. Gdy już znalazłem jakieś zajęcie, to na drugi dzień dowadywałem się, że miejsce to jest już zajęte. Pod pretekstem wyższych kwalifikacji odmawiano mi pracy. Zostałem sam, na niewiele zdała się pomoc kolegów związkowych. Chociaż jestem im bardzo wdzięczny za okazaną pomoc. Pieniądze, jakie otrzymywałem, ledwo wystarczały na czynsz. Pierwszy śmietnik „zaliczyłem” siedemdziesiąt dni po wyrzuceniu z pracy. O drugiej w nocy wstawałem, ubierałem się, brałem worek płócienny i ruszałem w miasto. Mało kto wie, że śmietniki małe i te duże stoją w swego rodzaju rewirach, miejscach, które oznaczyli zbieracze złomu, puszek. Wkroczenie na oznakowany teren prawie zawsze oznacza kłopoty, tak też było. Nigdy nie sądziłem, że będę się bił o prawo dostępu do zawartości blaszanego zbiornika na nieczystości. Trwało to trochę zanim wywalczyłem u innych szacunek, zanim dopuszczono mnie do „interesu”. W takim mieście jak K. albo masz pracę, jesteś na garnuszku opieki, albo żebrzesz. Wkrótce straciłem mieszkanie, bo nie byłem w stanie sprostać galopującym podwyżkom czynszu. Sypiałem od okazji do okazji, zimą koniecznie u św. Alberta.

Wspomina Mieczysław K., jeden z założycieli KPN w K., i długoletni działacz „Solidarności”: - Miałem dziewczynę, umówiłem się z nią w kawiarni przy rynku, kupiłem kwiaty. Tak, miałem całkiem poważne zamiary wobec niej, ale nim poszedłem na spotkanie, przyszedł Grzesiek M. i powiedział, że milicja aresztowała naszych i że bym uciekał. Uciekać, dokąd? Złapali mnie jak szedłem do kawiarni z bukietem róż. Widziała jak mnie aresztowali, jak zakładali kajdanki. Czerwone róże pozostały na bruku rozdeptane przez milicyjne bucior. Zostały wciśnięte w szczeliny kamieni. Już wtedy, tam w celi wiedziałem, że jak wyjdę na wolność, to zrobię wszystko, aby zalegalizować działalność. Aresztowano mnie na czterdzieści osiem godzin, wypuszczono



Fot. J. Maziejuk

biedy po przodkach, by móc zaoszczędzić młodemu pokoleniu tego wszystkiego, co było naszym udziałem. Na cóż były te wszystkie, często krwawo okupione wystąpienia robotników, na cóż były sztandary, opaski na przedramieniu, na cóż się przydał sens wypisywanych haseł na białych prześcieradłach, na cóż protesty, pałki na grzbiet, na cóż to wszystko? Na to, że mamy wolność! Wolności, o wolności - przybijaj, takiej mi przecież potrzeba, gdy nie mam, co do garnka włożyć, bo dzisiaj rano dowiedziałem się, że jestem bezrobotnym...

W mieszkaniu pełnym starych i zniszczonych mebli przyjął mnie były działacz związków zawodowych z okręgu wielkopolskiego, teraz już na emeryturze, starszy siwiejący pan w zniszczonej marynarce, z okularami śmiesznie zjeżdżającymi z nosa. Kiedyś ten niepozorny człowieczek trząsł połową związkowego świata, był nieprzejeźdnym negocjatorem, nieustępliwym obrońcą i twardym egzekutorem związkowych problemów.

- Edward K.: - Wie pan, to wszystko nie miało być tak, inaczej wyobrażaliśmy sobie tę całą „rozpierduchę”, ten związkowy akt wściekłości miał wyglądać inaczej. To wszystko rozlało się nam na boki, przelało przez palce, wyciekło jak woda z dziurawego wiadra. To nie miało być tak. Zaczynałem jeszcze w latach sześćdziesiątych, wie pan zapewne, co wtedy groziło za angażowanie się w działalność innych zwią-

tej materii. Niech pan popatrzy na te zdjęcia, Lechu przed siedemdziesiątym czwartym rokiem w Gdańsku. Jesteśmy wszyscy z tamtego okresu, ja z długimi włosami, Lechu taki szczupły, Jończyk z czwartego wydziału, Albert Sokorski z utrzymania ruchu, Bernacki, Branecki, Kowalewski, Otrąba. A tego to nie pamiętam, musiał być nie od nas, chyba przyjezdny. Tyle się wtedy działo, że nie zwracaliśmy uwagi, kto skąd przychodzi. I to był nasz główny grzech zaniedbania. Zapłaciliśmy za to w osiemdziesiątym roku, gdy byliśmy podsłuchiwanymi w sali BHP w stoczni. Komitet partii i warszawska „góra” wiedziała o każdym naszym posunięciu. Komuchy wszędzie miały szpicli. To, że mamy wolną Polskę, to bezsporna zasługa ludzi, którzy działali w KOR i tych, którzy stworzyli podwaliny pod działalność związku „Solidarność”. Tylko, że my, Polacy łatwo zapominamy o tych ludziach, ważne jest tylko, kto na szczycie. Mówi się, że Murzyn zrobił swoje i Murzyn może odejść. Tak, niestety było z mną, gdy trzeba było nadstawić karku, to byłem dobry, a później poprzychodzili nie wiadomo skąd panowie w lepszych garniturach, tacy wie pan „a, e”. I już nie było tak jak dawniej, podoczekali się, kto tylko mógł. Dziesięć milionów członków to była siła, z którą warto było się identyfikować.

Janusz jest dzisiaj pięćdziesięcioletnim mężczyzną, był mechanikiem sześćdziesięciosobowej załogi Zakładu Napra-

no tylko po to, aby pod byle pretekstem aresztować ponownie. Trwało to może miesiąc, może dłużej. Po kolejnych wyjściach na wolność już nie oddalałem się dalej niż kilka metrów od bramy więzienia. Któryś z naszych postarał się o adwokata w mojej sprawie. Postawiono mi zarzut podżegania do obalenia ustroju PRL. Władza wytoczyła ciężkie działa. Pierwszą sprawę miałem w marcu 1974 roku. Prokuratura przedstawiła szereg nieprawdziwych dowodów mojej, rzekomo wrogiej działalności. Jeden zarzut był prawdziwy, ten o ulotkach. Pozostałe, to wierutne kłamstwa. Skazano mnie na pięć lat pozbawienia wolności, karę miałem odbyć w więzieniu w Czarnem. Czerwiec 1976 roku zaznaczył się w Polsce wybuchem niezadowolonych robotników zakładów w Radomiu. W sierpniu tegoż roku odbyła się kolejna rozprawa sądowa. Nastąpiła kasacja poprzedniego wyroku i teraz zostałem skazany na dwa lata w zawieszeniu na pięć lat. W uzasadnieniu postanowienia sądu jako okoliczność łagodzącą wskazano to, że cieszyłem się dobrą opinią w miejscu zamieszkania i

biura prasowego w obronie represjonowanych. Na Konfederację Polski Niepodległej patrzyłem przez pryzmat poszanowania przede wszystkim ludzi pracy. Zakładałem (i słusznie), że w tej bezmiennej masie drzemie ogromna siła, którą trzeba tylko umiejętnie wprowadzić na odpowiednie tory. Nawet nie przypuszczałem wtedy, jak bardzo blisko było mi do związków zawodowych, bliżej niż do KPN.

Wanda J. - długoletni pracownik administracji w stoczni Gdańskiej im. Lenina: - Przychodzili do nas różni robotnicy, niewykwalifikowani, ci, którzy gdzieś już tam pracowali i ci - a tych było najmniej - wykwalifikowani po technikach z licznymi kursami i znajomością języków obcych. Tych kochała dyrekcja, lecz nie koniecznie my. Tacy mieli najwyższe wymagania płacowe, którym trzeba było sprostać. Wiadomo, takiemu bez zawodu dało się najniższą stawkę zaszerzegowania, nie marudził i jeszcze był szczęśliwy. I tak więcej zarobił niż u siebie. Ci z doświadczeniem też brali, co im się dawało, ale to „hrabioństwo”, to już pierwszej lepszej stawki nie brało. Kończyło się z re-

ki płacowej w „widelkach” zaszerzegowania, aby sprostać ich wymaganiom. W gruncie rzeczy cieszyłam się, jak przychodzili do nas fachowcy. Większość kończyła później studia, zostawali u nas lub wyjeżdżali do Szczecina, Gdyni, lub jak w przypadku Mariana Sz., zakładali własne zakłady. Wiedziałam, że przyszłość należy właśnie do tych wykształconych. Organizowaliśmy liczne kursy, posyłaliśmy do szkół i tylko nieliczni korzystali. Reszta trwała tam, gdzie zatrudniono ich pięć lub dziesięć lat temu. Molochy musiały odejść, to było pewne, lecz co miało powstać na ich miejsce, tego chyba wtedy, w sierpniu nikt nie wiedział.

- Urodziłam się w 1989, a więc w roku, kiedy Polska odzyskała niepodległość - wspomina Karolina K. - Słupsk, piękne miasto, nieopodal morze, czuje się tu powiew wielkiej wody. Kiedyś stolica województwa, w późniejszym okresie, po reformie administracyjnej kraju, zepchnięte do roli prowincjonalnej miasteczki w cieniu Koszalina.

Moja rozmówczyni jest piękną dwudziestoletnią kobietą i na początku podejrzewałam, że ze względu na wiek niewiele może wnieść do omawianego okresu. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu wie jednak bardzo dużo. Pochodzi z domu o bogatych tradycjach robotniczych. - To wszystko, co wiem, przekazał mi mój tata. Mój pradziadek był działaczem ruchu robotniczego, zajmował nawet jakieś ważne stanowisko w mieście i z całą pewnością jest przeciwieństwem swojego dziadka i przeciwnikiem minionego ustroju. Mój dziadek też był robotnikiem, ciężko pracował, aby utrzymać czteroosobową rodzinę. Tato przy różnych okazjach przekonywał mnie, że jestem dzieckiem szczęścia, bo urodziłam się w wolnym kraju. Muszę przyznać, że to, co mi opowiadał, było dla mnie swoistym polskim science fiction. W miarę dorastania weryfikowałam tatowe opowieści i odkrywałam ze zdumieniem, że miał absolutną rację. Pamiętam go, jak siedząc przed telewizorem, dyskutuje z politycznymi postaciami tamtej epoki. Mając czternaście lat, wybrałam się wraz z rodzicami do Gdańska. Pojechaliśmy tramwajem na moją ulubioną galaretkę do kawiarni na Długim Targu. Bywałam tam często przy okazji wizyt u cioci, ale tym razem wysiedliśmy dwa przystanki wcześniej, koło stoczni. Tato wziął mnie za rękę i powiedział: „chodź córeczko pokażę tobie, gdzie zaczęła się wolna Polska”. Kupiliśmy znicz w jakimś sklepie i zaprowadził mnie pod samą podstawę pomnika, tam gdzie zaczynają się trzy krzyże. Z wielkim przejęciem zapalił znicz i przekazał go mnie. Potem podeszliśmy pod główną bramę stoczni, przed tablicę z nazwiskami zabitych robotników. Czulałam, że uczestniczę w czymś bardzo podniosłym, jakbym to ja sama tworzyła historię. Później na maturze miałam pytanie: gdzie stoi pomnik przedstawiony na zdjęciu i w jakich okoliczno-



Fot. J. Maziejuk

wysoką oceną kolektywu pracowniczego w zakładzie pracy. Gdzie się podzieli tamci świadkowie? Do dzisiaj niektórych spotykam, żaden z nich nie ma odwagi spojrzeć mi prosto w oczy. Tak sobie myślę, że władza już wtedy zaczęła powoli odpuszczać i gdyby nie czerwiec siedemdziesiątego szóstego, to z pewnością jeszcze długo nie byłbym wolnym człowiekiem. W rezultacie okres odosobnienia zamknął się w dwóch latach, zaraz po wyjściu na wolność wpadłem w wir pracy organizacyjnej. Wraz z Grzegorzem M., Wandą J., Heleną Ż., Mirosławem S., pracowaliśmy nad zalegalizowaniem KPN. Pracy było dużo, ale i wtedy, tak oceniam, było łatwiej, ludzie sami przychodzili, żeby ich zapisać. Organizowaliśmy pikety, manifestacje w obronie robotników, stworzyliśmy coś w rodzaju

guły interwencji dyrekcji. Zawsze istniała niewidoczna granica podziału między pracownikami biura a pracownikami produkcji. Ten sztuczny podział przeważnie rodził animozje i uprzedzenia. Robotnicy mieli za złe „biuralistom”, że jest ich za dużo i muszą na nich pracować. Pracownicy biur narzekali, że „robole” się objają i nie będzie kwartalnej premii. Nie poprawiało to pogarszającej się sytuacji przedsiębiorstwa. Bałam się, że to wszystko kiedyś runie i modelałam się, że bym wytrzymała do emerytury. Udawane statystyki, niepoważna kalkulacja ekonomiczna, dalekosiężne pięcioletnie plany, to wszystko było sztuczne. Wspominałam o tamtych robotnikach z licznymi kursami, nie dlatego, że bym ich z jakiegoś powodu nie lubiła, ale wraz z ich zatrudnieniem trzeba było dokonywać ekwilibrysty-



ściach został postawiony? Tylko ja poprawnie odpowiedziałam. Wiedziałam wtedy, że w dużej mierze to zasługa mojego taty. Gdyby wszystkie pytania z WOS były podobne, to maturę z mojego ulubionego przedmiotu zdałabym celująco. Moi rodzice ciężko pracowali, abym nigdy nie zaznała niedostatku, aby spełniać moje marzenia i zachcianki. Aby nie brakowało mi niczego. Wiem o pustych półkach, o kartkach na mięso, które przechowuje tata, widziałam też pierwszy numer „Ślupskiej Solidarności”. Wiem o tym wszystkim, dlatego tym bardziej podziwiam swoich rodziców, że to wszystko przetrwali, no i rozumiem wreszcie tatę, dlaczego z taką determinacją zwalczał miniony ustrój. Chcę skończyć studia i podjąć pracę w wymarzonej zawodzie. Żeby zbudować nowe, stare musi odejść. Teraz jesteśmy w Unii, mogę pojechać, kiedy chcę i dokąd chcę. Czuję ten wolny wiatr. Szkoda tylko, że tak mało jest pracy dla młodych ludzi, że muszą wyjeżdżać za granicę.

- Ach Panie cackali się tylko z tymi robotami. Trzeba było wziąć wszystkich krótko, za mordę i do więzienia. A jak nie pomogłoby, to tak jak z tym księdzem, plum i do wody - mówił mi Bronisław K. - oficer byłej Milicji Obywatelskiej, z posażną emeryturką, zajmujący połowę bliźniaka na osiedlu domków jednorodzinnych „Północ” w Koszalinie. Gdy z nim rozmawiałem wiosną 2009 roku miał siedemdziesiąt osiem lat, nigdy nie zmienił nastawienia do demokratycznych przemian. - Tak, tak panie redaktorze nadmiernie się z nimi cackano, obchodzono jak z jajkiem. Bo mogą narobić hałasu. A niech robią - mówiłem naszym wtedy, niech robią, to dostaną po dupie i przestaną. Podoba mi się jak do tych spraw podchodzi Łukaszenka. Na Białorusi nie ma żadnej opozycji, wszyscy robią i myślą jak każe przywódca. A u nas? Nadal będą palić opony przed sejmem, obrzucać drzwi ministerstw jajkami. Toż aż ręka świerzbii, że-

by prz.....ić jednemu czy drugiemu. Wy-machują flagami „Solidarności”, odgrają się na legalną władzę. A z drugiej strony, co to za władza, która sobie pozwala grać na nosie. Państwo jest od tego, aby rządziło, a naród od tego, aby tej władzy słuchał. Tak było zawsze.

- Czy od czasów Bieruta, Gomułki i Ochaba nic się w Polsce nie zmieniło na lepsze - zapytałem? Czy to, że jesteśmy teraz w Unii Europejskiej nic dla pana nie znaczy?

- A dajże pan spokój z tą Unią, to czy-sta zмова międzynarodowego żydostwa. Rozkradają krwawicę naszych ojców w myśl „lipnych” paktów. Z tego wszystkiego żałuję jednego, że tak łatwo wtedy oddaliśmy władzę tym „inteligencikom”. Nic z tego dobrego dla Polski nie wynikło. Ludzie mieli wtedy pracę, każdy się tam czegoś dorobił, a teraz co czwarty jest bezrobotnym albo pracować nie chce za tysiąc złotych. Och, pogoniłbym to towarzystwo aż by się kurzyło. (...) Tusk, Kaczyński, Olechowski, Wałęsa, nie są dla mnie autorytetami. Życie nauczyło mnie jednego, że partia i przywódca mają zawsze rację, żeby nie wiadomo co się działo, w tym świecie pełnym sprzeczności, trzeba mieć do kogoś zaufanie.

- Mogłem się uczyć, ale gdy ktoś tak jak ja zarabiał dużo pieniędzy, to wtedy o tym nie myślał - wspomina Tadeusz C. - Kasa lepiła się do rąk, czego by się człowiek nie tknął przynosiło zyski. Większość z tych pieniędzy szła na przysłowiowy „przelew”. Ilu ja wtedy miałem kolegów, a dziś proszę, nie byłoby mnie stać na dwa piwa w „Staromiejskiej”. Mój starszy brat jest dzisiaj inżynierem, zarządza budową stadionu na Euro 2012. Mój los po latach porównałbym do filmowej postaci Bronka Talara z serialu „Dom”. Też chciałem się życia „nachapać” i zachowywałem się „jak burek spuszczonej z łańcucha”. Szastałem forszą na prawo i lewo. Dziewczyny to kochały. Tylko nie skończy-

łem tak jak on. Bóg mi świadkiem, wiele razy próbowałem. Od piętnastu lat jestem tu, u „czubków”. Na początku miejsce to było państwowe, więc nie było kłopotu z opłacaniem pobytu. Dzisiaj mój pobyt tu opłaca brat. Ale teraz jestem już całkiem zdrowy, przeszedłem załamanie nerwowe jak zaczęły się przemiany ustrojowe, jak zaczęło brakować pieniędzy. Lekarze obiecują, że niedługo zakończę leczenie i opuszczę ośrodek. Lecz jak dalej żyć poza murami? Liczę na to, że brat mi pomoże, chociaż ja nie dałem mu ani złotówki.

- A ja tam niczego nie żałuję, było jak było. Przeżyło się kawał czasu, o pałkach milicyjnych dawno już zapomniałem. Jestem dumny, że żyłem w tamtym okresie, że dane mi było na własne oczy zobaczyć tę unikalną chwilę, jedyną w swoim rodzaju, chwilę jedności społeczeństwa jak wypędzaliśmy ruskich z Polski - wyznał mi Franciszek K., długoletni działacz związkowy. - Przed osiemdziesiątym rokiem byłem przewodniczącym OPZZ w M. (województwo pomorskie). Pracowałem wtedy w dawnej fabryce rękawiczek, gdy się zaczęło, wiedziałem, że przyszedł ten odpowiedni czas. Do „Solidarności” wstąpiłem w maju 1983 roku. Gdyby mi było dane przeżyć ponownie „sierpień”, bez wahania powiedziałbym: tak. Niczego nie żałuję, bo życie toczy się dalej.

- Szyłam wieczorami opaski biało-czerwone i zastanawiałam się, jak to wszystko się skończy - mówi Maria K. - Mój mąż pracował wtedy w niewielkim zakładzie „Loton”. Wolą załogi został wybrany do komitetu strajkowego. Już wtedy cieszył się dużym szacunkiem, mimo młodego wieku. Ale ja dobrze wiedziałam, że on nadaje się do tego jak mało kto. Jak mało kto miał dosyć życia pod czerwoną gwiazdą i dominacją „pachołków Rosji”. Ja na tym się nie znałam, ale on mówił, że nie można żyć ciągle pod pręgierzem, i że Polacy zasługują na lepszy los. Że nie można dać się już dłużej niewolić. Coś musi ulec zniszczeniu, aby narodziło się nowe. W naszym małym mieszkanku odbywały się ważne narady przed strajkiem, dyskusje do późnej nocy. Przysłuchiwałam się tym rozmowom, żarliwym wymianom zdań, niezamierzonym kłótniom. Z nieukrywaniem zainteresowaniem nie mogłam się nadziwić, skąd wiedzą o tylu sprawach.

Stałem u podstawy pomnika poległych stoczniovców w Gdańsku, patrzyłem na zwieńczenie krzyży, na sam wierzchołek postumentu i nie mogłem dostrzec nic poza ofiarą, trudem, potem i niesprawiedliwością na losie Polskiego robotnika. Być robotnikiem - a cóż to znaczy?

Czesław Bronisław Kowalczyk, Ślupsk

Materiały do tego tekstu były zbierane od lutego 2007 do grudnia 2009 r.

Nie zagubić samego siebie

Węgry dla Polaków są krajem niezwykłym, zamkniętym między lądami, niby znanym, a wciąż od nowa odkrywanym. Gdy sięgniemy głębiej, odkrywamy kraj pełen niespodzianek i Węgrów zakochanych w kulturze polskiej



Z punktu widzenia nie tylko bibliotekarzy, Słupsk potrzebuje „nasyceń” kulturą obcą, w tym literaturą. Z tego względu decyzja zorganizowania Dni Kultury Węgierskiej w Słupsku i powiecie słupskim okazała się decyzją słuszną. W realizację projektu włączyło się Wydawnictwo W.A.B. z Warszawy, przekazując bibliotece szereg egzemplarzy najnowszej powieści Györgya Spiró Mesjasze, w przekładzie Elżbiety Cygielskiej. Autor dzieła z pieczołowitością odtwarza środowisko Wielkiej Emigracji. Z wizjonerską fantazją kreśli portrety Mickiewicza i Słowackiego, „uczłowiecza” po-

bie w tym miejscu na odrobinę polemiki. Czy tożsamość narodowa jest doraźnym celem? Czemu ma służyć kultura? Czy ma jedynie błyszczeć? Nie o to jednak chodzi. Niekwestionowanym przykładem patrioty jest Adam Mickiewicz, którego oblicze odsłania Szpiró w swoim najnowszym dziele. Mickiewicz manifestuje w utworach swoją głęboką więź z Ojczyzną i polskość. Jego romantyczne dzieła są zabarwione minioną epoką i nadal poddawane współczesnej analizie. Wciąż Jego i o Nim czytamy. Literatura i sztuka są i powinny być „wykorzystywane”, w pozytywnym znaczeniu tego

mnikowe twarze. Powieść wywołała wiele emocji wśród czytelników. Nic w tym dziwnego, literatura piękna powinna budzić niejednolite uczucia, z nich bowiem wpływa polemika.

Ostatnio natknęłam się w internecie na kontestację, przeciw instrumentalizacji kultury. Twórcy owego protestu mówią o wykorzystaniu kultury dorealizacji określonych celów doraźnych. I tu pada kilka przykładów: do promocji regionu i miasta, do kształtowania narodowej tożsamości, do politycznej agitacji, etc. Udowadniają, że te właśnie cele niszczą kulturę. Pozwolę so-

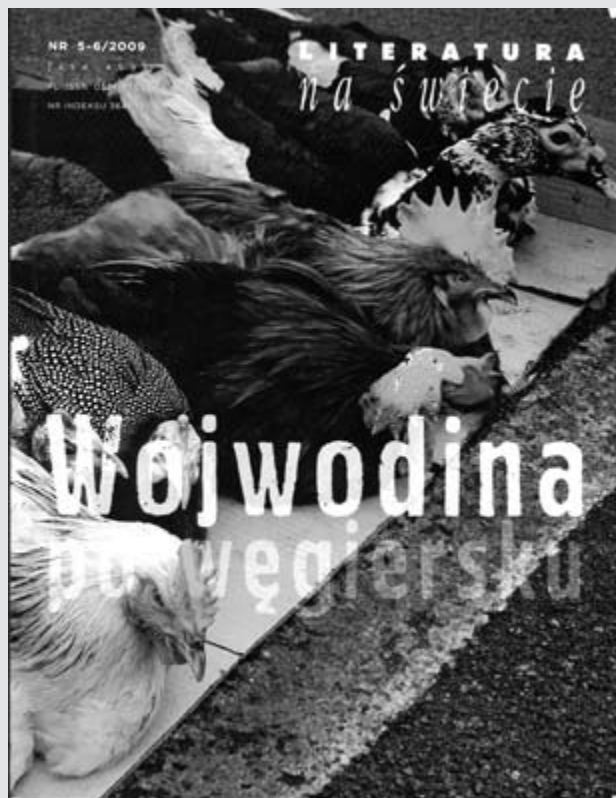
łowa. W Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyło się spotkanie z tłumaczką Mesjaszy, dr Elżbietą Cygielską, która z niezachwianym spokojem odpowiadała na szereg trudnych pytań.

W Bibliotece Pedagogicznej odbyło się spotkanie z Anną Górecką - hungarystką, redaktorką „Literatury na Świecie”, popularyzatorką i tłumaczką literatury węgierskiej, która ma w swoim dorobku translatorskim szereg dzieł literackich, w tym poezji. A. Górecka przedstawiła motyw Wojwodiny (kraj zamieszkałej w większości przez Węgrów, należącej dziś do Serbii) w literaturze. Jeden z ostatnich numerów „Literatury na Świecie” jest poświęcony wspomnianemu tematowi. Jestem pewna, że spotkanie z Anną Górecką zainspirowało uczestników do zgłębienia tego tematu.

Historia i muzyka

W programie Dni Kultury Węgierskiej nie mogło zabraknąć samych Węgrów. W Słupsku gościł Ákos Engelmayer - Węgier, dziennikarz, tłumacz, dyplomata, wykładowca akademicki, etnograf. Uczestnik Powstania Węgierskiego w 1956 roku. Od 1962 mieszka w Polsce. W latach 1990-1995 ambasador Republiki Węgierskiej w Polsce, a po rozpadzie ZSRR na Białorusi. A. Engelmayer przedstawił słupskim licealistom temat dotyczący Katynia i Węgrów. Zaznaczył w swoim wykładzie, że cyt.: „Świadomość zbrodni katyńskiej dokonanej w 1940 roku przez Sowietów na polskich oficerach była od początku pełna m.in. dlatego, że przewodniczącym międzynarodowej komisji badającej zbrodnię katyńską był Węgier, prof. Ferenc Orsós. Dzięki wiedzy tego jednego z największych specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej udało się ustalić m.in. dokładny czas dokonania zbrodni”. Katyń ciągle powraca. „W Budapeszcie, w dzielnicy Óbuda, skwer przy jednym z placów nazwano - po raz pierwszy w tej części Europy - „Katyńi Mártírok Parkja” („Skwer Męczenników Katynia)”. Bezpośredni przekaz osób, które były świadkami przemian, pozostawia w umysłach młodych ludzi głębokie ślady, aniżeli najdoskonalsze podręcznikowe teorie. Ákos Engelmayer jest taką „żywą historią”, zaś jego pamięć dotyka także szczegółów, które mogą mieć ogromną wartość.

W historię wplata się również muzyka. Wchodzi ona w „związki mieszane” z innymi dziedzinami, zaznaczając czas i miejsce. W niezwykle interesującej formie przedstawił historię węgierskiego rocka p. András Asztalos - Węgier, dyplomata, ekspert d.s. polskich, wieloletni pracownik Ambasady Węgierskiej w Polsce oraz MSZ w Budapeszcie. Nadal zajmuje się polityką oraz dwustronnymi relacjami Polska-Węgry. A. Asztalos zadziwił młodzież Słupska i powiatu słupskiego fenomenalną znajomością historii rocka, ponieważ - jak sam twierdzi - muzyka rockowa jest jego wielką pasją.



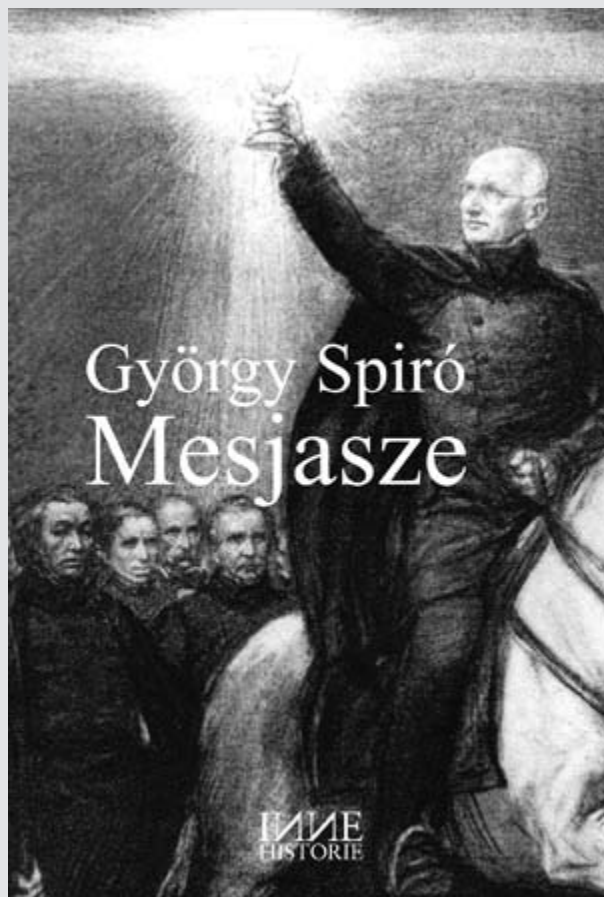
Przyjaźń

W ubiegłym roku śledziłam obchody 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej. To co przedstawili Węgrzy, jak przygotowywali się do tychże obchodów, zaskoczyło mnie niesłychanie. Z całą pewnością stwierdzam, że Polska dla Węgrów jest krajem wyjątkowym. Ákos Engelmayer podarował bibliotece książkę pt. „Tam na północy. Węgierska pamięć polskiego września” (tyt. oryginału Ottó Székely), Csaba Gy. Kiss, Andrzej Przewoźnik, przekład Jerzy Snopce. Książka została wydana przez Wydawnictwo MOST w Warszawie (2009), dzięki pomocy Narodowego Centrum Kultury. Do jej wydania przyczynił się Andrzej Przewoźnik, który zginął w katastrofie pod Smoleńskiem. - Miałem lecieć razem z Andrzejem do Katynia, los chciał inaczej - powiedział A. Engelmayer. Książka ukazuje obraz sytuacji Polski jesienią 1939 roku widzianej oczami Węgrów. Jest zbiorem artykułów wybitnych węgierskich korespondentów, publicystów i polityków z tamtego okresu. A. Engelmayer podkreśla: „Fakt nie wypowiedzenia wojny Polsce miał ogromne znaczenie dla uniemożliwienia uderzenia armii niemieckiej od południa na Polskę, możliwości przyjęcia 100 tysięcy uchodźców polskich, zapewnienia im schronienia i normalnej egzystencji aż do 19 marca 1944 roku - początek okupacji niemieckiej Węgier”. Niezwykle interesujące jest przedstawienie gen. Bema przez Zoltána Szabó (pisarz, publicysta). Generał Bem nadal jest na Węgrzech postacią powszechnie znaną, nazywany przez Madziarów „ojczulkiem”, pełni wieczną straż nad Dunajem. Rzeźbiarz przedstawił Bema w pozie romantycznej, z uniesioną ręką. Romantyzm jest

przecież cechą narodową Polaków. W tekście Z. Szabó czytamy: „Jego ojczyzną była Polska, ale dom znajdował się wszędzie, gdzie trwała walka o wolność”. Na okładce polskiego wydania jest zdjęcie z radzieckiego filmu propagandowego Dowczenki przedstawiające polskich jeńców eskortowanych przez żołnierzy Armii Czerwonej. Á. Engelmayer podkreśla, że w książce mówi się o sowieckiej agresji 17 września, ale wówczas nie rozumiano potworności kroku dokonanego przez Stalina. Na tylnej stronie okładki umieszczono fragment powieści Siostra S. Máraiego: „Potrafię mówić do świata tylko językiem muzyki i teraz, kiedy w Europie rozlega się rżenie śmiertelnie ranionego narodu, nie mogę uczynić nic innego, jak tylko sprawić, by w europejskiej sali koncertowej rozbrzmiewał najsłabszy głos, jakim naród ten zwrócił się do ludzi: powołam do życia głos Chopina”.

Poezja

Niezwykle emocjonalne było spotkanie z poetami wiejskimi „nieprofesjonalnymi” w Starostwie Powiatowym w Słupsku.



sku. Przy wspólnym stole zasiedli Węgrzy i Polacy. Wiele wzruszeń wywołały słowa p. Jerzego Lissowskiego, który z niezwykłą gładkością w słowie, nienagannym gestem i swoistą elegancją, przedstawiał fragment swojej węgierskiej historii. A. Engelmayer oraz A. Asztalos byli dumni, że właśnie tacy ludzie, jak J. Lissowski noszą część prawdziwej węgierskości. Uczestnicy nie ukrywali rozrzewnienia. Liczy się człowieczeństwo i to co w duszy gra - powiedział po spotkaniu A. Asztalos, zaś Á. Engelmayer stwierdził, że właśnie te małe społeczności tworzą globalne więzi, nasycając je już w zarodku, wielką tęsknotą i patriotyzmem. Zastanawiam się, jak zdefiniować poezję? Można ją chyba porównać do surowej celi filozofa. Tylko poeta potrafi wypełnić tę celę symbolami, zamyka w niej własne myśli, wypełnia muzyką, tęsknotą, smutkiem. I tak wciąż od nowa.

Piękno powiatu słupskiego

Nie tylko piaszczysty złoty Bałtyk jest atrakcyjny dla Węgrów. Widziałam zachwyt w ich oczach, gdy odwiedziliśmy Warcino w gminie Kępice. Dyrektor Zespołu Szkół Leśnych Piotr Mańka przedstawił historię pałacu w niezwykle interesującej formie. Niewątpliwie w słowach dyrektora wyczuwa się ogromną pasję, zaś postawa zaraża energią i chce się tam wracać. W murach pałacu Bismarcka gości przywitał Zespół Hejnalistów. Nie mogło zabraknąć hejnału w rytmie muzyki rockowej. W drodze powrotnej dyskutowano na temat Warcina, zachwyt pozostał do dziś. W najbliższym czasie w Centrum Edukacji Regionalnej będzie prezentowana wystawa „Od Máraiego do Spiró”.

Puentując relację z przebiegu Dni Kultury Węgierskiej w Słupsku, warto podkreślić, że w dążeniu do wspólnoty nie możemy zgubić samego siebie. Udowodnili to nasi poeci regionalni. Do globalnych społeczności prowadzi wiele krętych dróg. Zmierzając tam, pozostajmy wierni tradycji, chłonąc jednocześnie kulturę innych. Dzięki temu staniemy się bogatsi, silniejsi i bezpieczniejsi w rozpadającym się ekspresie teraźniejszości.

Danuta Sroka
St. kustosz Miejskiej
Biblioteki Publicznej
w Słupsku

Chopin w Budapeszcie

Wiosenne mazurki, posuwiste zimowe walce, jesienne sonaty, letnie polonezy pełne tęsknoty. Wsluchując się w dźwięki muzyki fortepianowej marzymy, aby całą przestrzeń wypełniły ciepłe nuty. W pierwszym dniu marca miałam przyjemność uczestniczyć w jednym z setek koncertów organizowanych tego właśnie dnia, dla uczczenia 200. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina. Koncert miał miejsce w Pałacu Sztuk w Budapeszcie w Narodowej Sali Koncertowej Béli Bartóka. Impreza odbyła się pod patronatem dwóch ministrów: Bogdana Zdrojewskiego (ministra kultury i dziedzictwa narodowego) oraz Hillera Istvána (ministra oświaty i kultury Republiki Węgier). Koncert współfinansowany był przez Piotra Całbeckiego, marszałka województwa kujawsko-pomorskiego.

Salę koncertową wypełniał tłum, w którym prym wiodły węgierskie elity artystyczne oraz korpusy dyplomatyczne. Wśród dyplomatów przeważali przedstawiciele Polski i Francji. Tysiąc pięćset osób zasiadło na widowni, aby usłyszeć misterne dźwięki kompozycji Fryderyka Chopina. Dzieła mistrza zagrał Alex Szilasi - węgierski chopinista urodzony w Parmie - jeden z najbardziej utalentowanych interpretatorów muzyki Chopina na Węgrzech. Szilasi grał na fortepianie Pleyel, ulubionym instrumencie Fryderyka Chopina. Soliście towarzyszyła Filharmonia Pomorska im. Ignacego Jana Paderewskiego z Bydgoszczy, pod batutą wybitnego dyrygenta Tadeusza Wojciechowskiego.

Gdy zabrzmiały pierwsze tony Koncertu fortepianowego f-moll op. 21, mocniej zabiło mi serce. Jestem pewna, że publiczność była równie oczarowana. Tenże poetycki, malowany aluzyjnymi, delikatnymi tonami koncert został stworzony w 1830 roku, kiedy młody Fryderyk był po prostu bardzo zakochany. Jego prawykonanie odbyło się 17 marca 1830 roku w Warszawie, partię solową wykonał sam kompozytor.

Ponadto w programie znalazły się inne utwory Chopina, a mianowicie: Andante spianato i Wielki Polonez Es-dur op. 22 oraz Wariacje B-dur op. 2 na temat „Là ci darem la mano”. Prócz utworów wielkiego polskiego kompozytora, publiczność usłyszała dzieła Schuberta i Liszta. Koncert był transmitowany na żywo w czasie największej oglądalności, na wszystkie kontynenty przez węgierski program Telewizji DUNA oraz emitowany przez Radio MR3-Bartók. Szilasi gra przede wszystkim na fortepianach Pleyel, w tym również na zabytkowym

instrumencie, który pianista odkrył w 2005 roku w magazynach budapeszteńskiego Muzeum Sztuki Użytkowej. Odnaleziony „złoty fortepian” legendarnej marki, zdobią harmonijne wzory w stylu neorokoko. Wyprodukowano zaledwie trzy egzemplarze „złotego Pleyela”: jeden do dziś jest w posiadaniu angielskiej królowej, drugi można podziwiać w salonie Pleyel w Paryżu, trzeci został teraz odnaleziony w Budapeszcie. Instrument był własnością polskiego arystokraty - hrabiego Jana Stanisława Zamoyskiego. Alex Szilasi dotarł do źródeł, które wskazują rok 1898, jako datę sprzedaży fortepianu Janowi S. Zamoyskiemu przez manufakturę Pleyel. W 1912 roku instrument został sprzedany na aukcji w Wiedniu. W 1967 r. baronowa Iren Groedel przekazała instrument do Muzeum Sztuki Użytkowej w Budapeszcie.

Solista tym razem wybrał model P280, który został wypożyczony z Paryża przez firmę „Les Pianos Pleyel”, specjalnie na tę okazję. Fortepiany Pleyel tworzone są w Saint Denis, pod Paryżem. Rocznie firma wytwarza ok. dwudziestu instrumentów. Znamcy twierdzą, że ma bardzo delikatne subtelne brzmienie, łagodny a zarazem bogaty w niuanse dźwięk, cichszy od instrumentów Steinway'a czy Petrofa.

Należy zaznaczyć, że ów model P280 zabrzmiał pierwszy raz w Bydgoszczy 19 lutego tego roku. Bydgoski debiut był jednocześnie debiutem w Europie Wschodniej. Po tym koncercie fortepian został przewieziony do Budapesztu. Solistą obu imprez był Alex Szilasi. Po otwarciu Pałacu Sztuk w Budapeszcie w 2005 roku, pianista rozpoczął przygotowania do Roku Chopinowskiego. Szilasi grał wszystkie dzieła mistrza. W ubiegłym roku węgierska Wytwórnia Płyty „Hungaroton” wydała Mazurki Fryderyka Chopina w jego wykonaniu, w 2006 roku Walce, natomiast w przygotowaniu są Polonezy i Sonaty.

Po koncercie w Budapeszcie ukazało się szereg pochlebnych recenzji. Filharmonia bydgoska oraz dyrygent - Tadeusz Wojciechowski - odnieśli wielki sukces. Filharmonia Pomorska poprosiła Szilasi'ego, by zagrał w dniu 11 listopada br. w Bydgoszczy, podczas imprezy upamiętniającej 150. rocznicę urodzin I.J. Paderewskiego.

Nigdy wcześniej nie słyszałam owacji w wykonaniu 1500 osób w niezwykle akustycznej Sali Koncertowej. Wrażenie niezwykłości towarzyszy mi do dnia dzisiejszego. Te oklaski otrzymali polscy filharmonicy oraz polskie dzieła. Byłam dumna.

**Danuta Sroka
Ślupsk**



Rok Chopina nadal trwa, częściej niż zwykle słyszymy romantyczne dźwięki kojące nasze dusze. Cały świat wsluchuje się w polskie melodie. Choć Chopin kojarzy się z jesiennymi wierzbami, melancholijnie pochylającymi się nad losem ukochanej ojczyzny, w jego muzyce odnajdujemy wszystkie pory roku

Święto rocka w D

Po raz czwarty w Dolinie Charlotty zabrzmiał stary dobry rock



9 i 10 lipca br. odbyła się pierwsza odsłona Festiwalu Legend Rocka, jednej z najbardziej oryginalnych letnich imprez muzycznych w Polsce. Konferansjer wielokrotnie powtarzał, że to niezwykle przedsięwzięcie jest możliwe nie tylko dzięki wielu sponsorom, ale także, a może przede wszystkim dzięki wielkiej życzliwości samorządowców, którzy kochają muzykę i swój region. Festiwal z roku na rok zyskuje coraz większą popularność i dzięki temu powiat słupski odwiedza coraz więcej miłośników dobrego rocka.

Dopisała publiczność i prawdziwie letnia pogoda. W przepięknej, leśnej scenarii amfiteatru mieszkańcy Słupska, regionu oraz turyści z całej Polski i zagranicy słuchali i bawili się w rytm muzyki lat siedemdziesiątych. W pierwszy dzień publiczność rozgrzała słupska formacja Resekcja. Później na scenie pojawiły się prawdziwe legendy. Najpierw wystąpił zespół Hamburg Blues Band, w którym grają Chris Farlowe i Clem Clempson, muzycy ze składu brytyjskiej grupy jazzrockowej Colosseum, istniejącej w latach 1968-1972. Występ Kena Hensleya, klawiszowca legendarnego zespołu Uriah Heep występującego z grupą Live Fire był znacznie bardziej energetyczny. Nie zawiedli się ci, którzy liczyli na przeboje z repertuaru Uriah Heep. W sobotni wieczór muzyczną ucztę sprawił Dawid Cross, angielski kompozytor i skrzypek, który zasłynął wy-

stępami z grupą King Crimson. Większość brawurowo wykonanych utworów publiczność nagradzała długimi i gromkimi brawami. Gwiazdą wieczoru była legendarna węgierska formacja Omega, a obdarzony niezwykle charyzmą wokalista Janos „Mecky” Kobor poderwał wszystkich w amfiteatrze do zabawy. Megahit „Dziewczyna o perłowych włosach” był kulminacyjnym utworem sobotniego wieczoru, który śpiewała cała publiczność w amfiteatrze.

Druga, sierpniowa odsłona 4. Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty udowodniła, że to jedno z największych muzycznych wydarzeń nie tylko w powiecie słupskim, ale również w regionie. Coraz większe gwiazdy, tysiące fanów, doskonała organizacja i niesamowita atmosfera panująca w amfiteatrze. Tak w wielkim skrócie można podsumować trzy festiwalowe wieczory w Strzelinku, w czasie których wystąpiło dziesięć zespołów. Każdy fan rocka, niezależnie od wieku, mógł więc znaleźć coś interesującego dla siebie.

Przegląd gwiazd rozpoczął parateatralny i niezwykle widowiskowy występ Arthura Browna. Po nim na scenie pojawił się człowiek, którego można nazwać żywą rockową legendą - Eric Burdon. Mocny, charakterystyczny głos byłego wokalisty zespołu The Animals oraz jego osobowość sprawiły, że publiczność szalała pod sceną. Burdon to jeden z tych wokalistów, z

którego głosem czas obchodzi się niezwykle łagodnie. Utwory w wykonaniu zespołu brzmiały świeżo, gdyż wokalny perfekcjonizm wokalisty nie był pozbawiony improwizacji, a ponadto jego głos jest nie do podrobienia.

Drugi dzień upłynął pod znakiem zupełnie innych klimatów. Po bluesowo-rockowym, ciepło przyjętym koncercie Maggie Bell, Dave’a Kelly’ego i weteranów z British Blues Quartet sceną zawładnął Marillion. Z tego też powodu, kto przyjechał później niż o godzinie 19, kiedy rozpoczął się koncert, ten miał problem ze znalezieniem miejsca na parkingu. Ten zespół też sprawił, że w Dolinie Charlotty zjawiało się tysiące młodych fanów rocka. Kapeła zyskała popularność w latach osiemdziesiątych, która - jak można było zauważyć w amfiteatrze - trwa do dziś. Zespół doskonale dobrał repertuar i wytworzył charakterystyczną, sentymentalną, trochę hipnotyczną atmosferę, balansując między rozbudowanymi kompozycjami, a tą bardziej przebojową, piosenkową twórczością z lat 90. Dzień, w którym występował Marillion, był największym frekwencyjnym sukcesem festiwalu.

Wielkim wydarzeniem trzeciego dnia sierpniowej odsłony był występ Nicka Simpera, basisty pierwszego składu legendarnej formacji brytyjskiego hard rocka Deep Purple, który obecnie występuje z austriack-

olinie

ką grupą Nasty Habits. Charyzmatyczny i obdarzony mocnym głosem wokalista Christan Schmid nawiązał niezwykle kontakt z widownią. W ich wykonaniu publiczność otrzymała solidną porcję hard rocka z lat 60., z ciężkimi gitarami i podniosłym brzmieniem organów. Brawurowo wykonane klasyki „Painter”, „Hush”, „I’m so glad” rozgrzały fanów do czerwoności, cały amfiteatr śpiewał i tańczył. Czwarty festiwal zwińczył koncert Procol Harum, brytyjskiej grupy założonej pod koniec lat 60. Fani nie zawiedli się, panowie grali z niesamowitą energią. Profesjonalizm emanował z każdej strony, ich kompozycje cały czas mają powiew świeżości i przywołują wspo-

mnienia nie tylko pięćdziesięciolatków. Mimo strug deszczu i szalejącej nad Doliną burzy publiczność wytrzymała z zespołem aż do ostatnich dźwięków legendarnego hitu „A Whiter Shade of Pale” i w całości go zaśpiewała.

Nowością w tym roku były występy młodych polskich kapel rockowych występujących jako supporty. Wyłoniono je podczas konkursu, który odbył się maju w Dolinie Charlotty. Spośród kilkudziesięciu zespołów z całej Polski wyłoniono sześć i na scenie, oprócz Resekcji i Withe Room grających w lipcu, w drugiej odsłonie wystąpiły Kruk, Disperse, Passion Friut oraz Quidam. Ten ostatni dał piękny koncert. Cudowne skrzypce i flety, energia i sceniczne obycie wokalisty sprawiły, że ich występ był niezwykle wyjątkowym wydarzeniem muzycznym. Na uwagę zasługuje też gitarzysta Kruka, którego soczyste solówki były pełne emocji i wzbudziły zachwyt widowni. Kapela grała przeróbki klasyki hard rocka z dorobku

m.in. Led Zeppelin, Deep Purple czy Uriah Heep.

W czasie wszystkich festiwalowych dni można było nabyć płyty występujących zespołów i zdobyć autograf ulubionego wykonawcy. Sprzedawano również specjalnie zaprojektowane koszulki z logo 4. Festiwalu Legend Rocka, które rozeszły się niezwykle szybko i wielu osobom nie udało się ich kupić. Organizatorzy zadbali nie tylko o strawę duchową, ale także i kulinarną. W przerwach serwowano smaczne dania z grilla. Tegoroczny festiwal umocnił silną już pozycję, a za sprawą młodych rockowych gwiazd przybierał formę wielkiego święta rocka. Jego pomysłodawca, Mirosław Wawrowski, swoją pasję zaraził wiele osób z regionu i to dzięki nim festiwal z roku na rok zyskuje coraz większą rangę oraz miano jednego z największych wydarzeń muzycznych w regionie. Z niecierpliwością będziemy czekali, kto przyjedzie za rok.

Maria Matuszewska

Z krzyżykiem do Madrytu

Od 26 lat głosuję w Dębnicy w Urzędzie Gminy. Tak się złożyło, że w tym roku nie mogłem uczestniczyć w drugiej turze wyborów prezydenckich



akurat 4 lipca będziemy w Madrycie. Oczywiście odebraliśmy z żoną stosowne zaświadczenia z Urzędu Gminy i w drogę. Nie zdążyłem się nawet nacieszyć kwiatami od dzieci na zakończenie roku szkolnego. Z uroczystości prosto do pociągu.

Przewodnik w Hiszpanii był zdziwiony naszym pomysłem, ale na 42-osobową grupę 14 turystów miało ze sobą zaświadczenia. Nie chcieliśmy niczego robić kosztem grupy. Dla większości możliwość głosowania w madryckiej am-

basadzie była atrakcją turystyczną tej wycieczki niż „politycznym nawiedzeniem”.

Z kraju dochodziły wiadomości, że stawka w sondażach jest wyrównana, więc mógł być ważny każdy głos. 4 lipca okaza-

ło się, że mamy głosować w Ośrodku Kultury Polskiej w Madrycie, a nie jak podawano wcześniej w polskiej ambasadzie.

Mimo podanego adresu, znalezienie ośrodka wcale nie było takie łatwe, chociaż krążyliśmy blisko niego. Okazało się, że organizatorzy wyborów nie otrzymali prawa wywieszenia polskiej flagi, co na pewno ułatwiłoby nasze poszukiwania. Kartka A-4 z napisem Komisja Wyborcza nie rzucała się w oczy. Zastanawiał mnie ten fakt. Na widzianym później Ośrodku Kultury Włoskiej widniały trzy flagi. Włoska, unijna i hiszpańska.

Najważniejsze jednak, że trafiliśmy. A w komisji krajanie. Jedna z pań była z okolic Rzepina (mieszkałem w tamtych okolicach 14 lat), druga pani kończyła studia w Słupsku.

Miła rozmowa, wpisywanie nas na listę głosujących, rozdawanie kart i pamiątkowych znaczków ośrodka. Oczywiście robiliśmy sobie przy tym zdjęcia. Obowiązek spełniony, prawo do głosowania wykorzystane. Po nas zaczęli się pojawiać Polacy mieszkający w Madrycie. Głosowanie zajęło nam ponad 40 minut, może dlatego reszta wycieczki chwilę narzekala. Zaświadczenie jednak mógł z miejsca zamieszkania zabrać każdy.

Wieczorem czekaliśmy na wyniki. Na różne sposoby. Przy hotelowych telewizorach, w internecie, z telefonami komórkowymi w dłoniach. I najważniejsze było to, że bez względu na wynik nikt nie zamierzał prosić o azyl polityczny. No może byłoby dobrze, gdyby wycieczka trwała cztery dni dłużej, byłibyśmy uczestnikami hiszpańskiego szaleństwa z powodu zdobycia przez tamtejszych piłkarzy mistrzostwa świata.

**Jerzy Frykowski
Dębница Kaszubska**

Od Warszawianki do Dzień

Kiedy kierowniczka Działu Promocji Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku zwróciła się do mnie z pytaniem, czy w ramach Dni Kultury Węgierskiej podjąłbym się próby przybliżenia słupskiej młodzieży węgierskiej kultury, zgodziłem się z miejsca i wybór padł na węgierską muzykę rockową

Tęsknota za ostrym brzmieniem

Choć zawodowo nie param się muzyką, duchowo jestem z nią związany od zawsze. Muzyka w pełnym kształcie, a w szczególności rock stanowi istotny składnik w moim życiu. Przypuszczalnie bez niej

piosenki czy cygańska muzyka odpychały mnie, a myślę, że także większość moich rówieśników. Wraz z pojawieniem się w 1961 roku w naszym rodzinnym domu wysokiej klasy radioodbiornika, otworzył się dla mnie świat (nie tylko muzyczny). Całymi dniami bez opamiętania słuchałem muzycznych programów stacji zachodnich, ta-

„Grzeczna” muzyka

Mimo ciężkich represji po stłumieniu powstania węgierskiego w 1956 roku, polityka Jánosa Kádára na początku lat sześćdziesiątych zyskiwała aprobatę coraz większej części społeczeństwa. Poprawiał się też klimat międzynarodowy. Stany Zjedno-



Fot. M. Matuszewski

nie byłbym tym człowiekiem, jakim jestem. Kształciła moją wrażliwość i tożsamość od najmłodszych lat. Wówczas radio często emitowało „internacjonalistyczne przeboje” klasy robotniczej, socjalistyczny realizm dopiero przestał obowiązywać. Koryfeusze systemu socjalistycznego uważali, że wszelki wpływ, który pochodzi ze „zgniłego zachodu” może być zagrożeniem dla systemu. Rock’n roll (tak jak i jazz) przez długie lata był wyklęty i praktycznie niedostępny. Serwowane przez radio marsze, wojskowe

kich jak RIAS Berlin, Hamburg, Radia Wolna Europa i Luxemburg często do zakończenia emisji o trzeciej nad ranem. Najchętniej słuchałem: The Beatles, Yardbirds, Kinks, Pretty Things, Searchers, Hollies i Rolling Stones. Młodzieńczy bunt podświadomie torował sobie drogę w mej duszy, instynktownie więc zwróciłem się w kierunku ostrego brzmienia. Wracając z pracy mama często mnie błagała: synu, przycisz trochę, bo na przystanku (oddalony był od nas paręset metrów) słyhać twoje granie.

czone uznały, że w krajach należących do Układu Warszawskiego warunki dyktuje Moskwa. Zimnowojenne wiatry zelżały, a w bloku wschodnim powiało odprężeniem. Poluzowano nieco cugle m.in. w dziedzinie kultury masowej. Władze doszły do wniosku, że nie są w stanie wyeliminować wpływu „niechcianej” muzyki zachodniej na młodzież. W konsekwencji zaczęły popierać powstawanie poprawnej w ich mniemaniu rodzimej konkurencji. Wówczas pojawili się na Węgrzech pierwsi wykonawcy

Wczyny o perłowych włosach

i kapele „z innej bajki”, m.in.: Zsuzsa Koncz, Kati Kovács, zespół ILLÉS, METRO i OMEGA. Ich utwory w wyniku baczego czuwania cenzury były dość „grzeczne”, wygładzone, zarówno pod względem melodii i aranżacji, jak i tekstu. Instrumentalna kompozycja zespołu ILLÉS z 1964 roku - była swoistym listem otwartym zaadresowanym do popularnego wówczas amerykańskiego gitarzysty Duane Eddy - otworzyła jednak nową erę w muzyce popularnej nad Dunajem. Powstały pierwsze stałe kluby najpopularniejszych zespołów. Otwarto również Budański Park Młodzieży (Budai Ifjúsági Park), gdzie codziennie odbywały się koncerty. Na nośnikach niestety mogło się zachować tylko to, na co zezwalały oficjalne czynniki. Ostrego brzmienia i „problematycznych” treści raczej nie znajdziemy na płytach z tego okresu. „Barbarzyńskie” czy „prowincjonalne” zespoły nie miały wstępu do radiowego studia, czy wytwórni płytowych. Niemniej jednak pojawiały się one na scenie, choć milicja często interweniowała w obawie przed „demolkami” i „rozróbami”, przerywając w ten

sposób ich występ. Nawet po tylu latach moja krew gotuje się, kiedy słucham wirtuozerii Béli Radics z grupy Taurus, przypominającej Hendriksa. Zdarzało się, że pod wpływem takiej muzyki młodzież rzeczywiście rozrabiała i to ostro. Na koncerty nie wpuszczano młodzieży w dzinsach i z długimi włosami. Należało mieć na sobie garnitur i krawat. Subkulturę zwalczano wszelkimi środkami, stosując przeróżne formy. Nawet nazwa zespołu musiała być nienaganna. Wielu nawet w mojej ojczyźnie nie wie, że pierwotna nazwa OMEGI brzmiała Czerwona Gwiazda (sic!). Nic dodać, nic ująć. W Polsce przynajmniej istniały gitary, choć w sposób naturalny musiały być odpowiedniego, czerwonego, rzecz jasna, koloru.

Kiedy byłem małym chłopcem

Prekursorem nowego nurtu muzycznego, powstałego z połączenia pop-rocka z ludowymi elementami był ILLÉS. Ale w przeciwieństwie do polskich grup (Breakout czy Skaldowie, gdzie odnajdujemy elementy folkowe), na Węgrzech autentyczna muzyka ludowa była zakazana do końca lat

siedemdziesiątych. Tym bardziej w połączeniu z rockiem. Dlaczego? Po przegranej przez Monarchię Austro-Węgier I wojnie światowej i rozpadzie dualistycznego państwa, w wyniku traktatu pokojowego z Tri-

o perłowych włosach” (1969) zaadoptowali słynni Skorpionci. Wersja oryginalna Dziewczyny w 1974 roku przez kilka miesięcy nie schodziła z pierwszego miejsca listy przebojów Programu I Polskiego Radia. Utwór o



non (1920) Węgry straciły 70 proc. swego terytorium. Publiczna prezentacja ludowej muzyki węgierskiej na przykład z Siedmiogrodu, byłaby odebrana jako bunt przeciw Trianon i próba rewizji granic z Rumunią. Czynniki oficjalne starały się więc ukierunkować artystów w stronę bałkańskich motywów muzycznych, ponieważ pod względem politycznym były one neutralne.

Prześlągnięty serbskimi ludowymi motywami utwór zespołu ILLÉS pt. „Kiedy byłem małym chłopcem” nie przypadkowo zdobył pierwsze miejsce na festiwalu piosenki tanecznej w 1968 roku. Niezależnie od tego piosenka ta była bardzo udaną kompozycją, osiągnąwszy zasłużenie ogromną popularność. A negatywna postawa władz w stosunku do węgierskiej muzyki ludowej wywołała swego rodzaju bunt, który przyczynił się do uformowania silnego niezależnego ruchu Domu Tańca.

Dziewczyna o perłowych włosach

Trzeba przyznać, że twórczość OMEGI od początku w większej mierze wpasowała się w kanon światowego rocka niż grupy ILLÉS. Do tego stopnia, że hit „Dziewczyna

baśniowej konwencji z porywającym cwałem perkusji Józsefa Lauxa oraz przejmującym wokalem kompozytora-klawiszowca Gábora Pressera o elementarnej sile, nosiły w sobie znamiona całkiem innego internationalizmu niż Warszawianka. Utwór OMEGI był przełomem w historii węgierskiej muzyki rockowej i stał się hymnem dzieci kwiatów na wschód od Łaby. Dając zielone światło temu i podobnym utworom, cenzura przeszła samą siebie. O poprawiającym się klimacie wokół muzyki rockowej świadczyły również coraz częstsze występy zespołów prezentujących ostre rockowe brzmienie, m.in.: Nashville Teens czy Spencer Davies Group. Do Polski w tym okresie zawitali Animalsi czy Stonsi.

Muzyka rockowa na Węgrzech w stosunkowo krótkim okresie przeszła niebywałą drogę i w latach siedemdziesiątych osiągnęła swój wiek dojrzały. Porywający rock w wykonaniu Locomotiv GT, dojrzały jazz-rock zespołu Sirius, czy rock progresywny Nonstop, Skorpion oraz Mini stanowią najlepszy okres ponadczasowego i nieuznającego geograficznych bądź ideologicznych granic rocka.

**András Asztalos
Budapeszt**

na koncerty nie wpuszczano młodzieży w dzinsach i z długimi włosami



Wędrówki po siedliskach

Ogólnopolski Złot Szlakami Słowińskiego Parku Narodowego jest żywą lekcją historii. Odbył się już po raz trzydziesty piąty!

Słowińcy. Reliktowa grupa etnograficzna ludności pomorskiej na współczesnym obszarze RP, bardzo blisko spokrewniona z Kaszubami. Ojcowizną członków tej grupy była od stuleci ziemia słupska, ściśle: tereny wokół jezior Gardno i Łebsko. Zabytki ich dawnego oryginalnego budownictwa ludowego przetrwały po dziś dzień, niestety w szczątkowej lub śladowej formie, we wsiach Kluki (muzealny skansen), Ciemińskie, Żelazo, Gardna Wielka i Smołdzino. Dialekt słowiński stanowił najdalej na zachód wysuniętą enklawę języka (gwary?) kaszubskiego.

Wybrzeże Słowińskie. Główny region Pobrzeża Zachodniopomorskiego i Pomorskiego, ciągnący się od ujścia Odry

aż po Kaszuby. Co szczególnie charakterystyczne? Wydmy nadmorskie (wraz z plażą), jeziora przybrzeżne (Jamno, Gardno, Łebsko), długie ciągi torfowisk z „rodowodem” polodowcowym, tyleż przeurocze co liczne i rozległe kąpieliska morskie (Dziwnów, Kołobrzeg, Mielno, Darłowo, no i - Ustka, Rowy, Łeba).

We wschodniej części Wybrzeża znajduje się **Słowiński Park Narodowy**. Utworzony w 1966 roku o powierzchni 18068 hektarów. Pod ochroną ścisłą jest 5350 ha. Zasięgiem obejmuje Mierzeję Łebską, jeziora Łebsko i Gardno, pas Pobrzeża między lądem a wodami Bałtyku (tam gdzie jest ujście rzeki Łupawy do morza). Parkowe ABC dla wczasowiczów i tu-

rystów: Największe w Środkowej Europie (do 42 m!) ruchome wydmy z unikalnymi... cmentarzyskami drzew i krzewów. Flora? Typowa roślinność wydмова (z „wszech-obecnym” mikołajkiem i wydmuchrzycą nadmorską), w zagłębieniach śródwydmowych - torfowiska (znak rozpoznawczy: widłaki torfowe, rosiczki) oraz przymorski bór sosnowy. Fauna - jak flora bogata, z mnóstwem ptaków wodnych, z istną bazą (wg fachowców ostoją) ptaków przelotnych. O zabytkach słowińskiej ludowej kultury materialnej były już konotacje na samym wstępie (Kluki!). Dodać jedynie warto, że w 1977 roku Słowiński Park Narodowy został uznany przez UNESCO światowym rezerwatem biosfery.

Jakimi szlakami w Słowińskim Parku Narodowym przebiegał tegoroczny rajd-złot?

Piesi: Rowy - obszar ochrony ścisłej Mierzeja - jezioro Gardno (pomost widokowy) - obszar ochrony ścisłej Gardneńskie Łęgi (wieża widok.) - Suche Łąki - Smołdzino (Muzeum SPN) - obszar ochrony ścisłej Rowokół (wieża jak w Łęgach); łączna długość trasy 12,5 km. Izbica - Lisia Góra - Kluki (pomost, wieża widok.) - jez. Łebsko (cmentarz słowiński z XVIII w.) - obszar ochrony ścisłej Moroszków - Łokciowe - Smołdziński Las; długość trasy 15,7 km. Smołdziński Las - Czołpino - (latarnia morska, brzeg morza) - Wydma Czołpińska - Czołpino - Smołdziński Las; trasa 14,4 km.

Rowerzyści: wzdłuż tras Łeba - Żarnowska - obszar ochrony ścisłej Bielice -



Fot. J. Grabowski



Fot. K. Żelikowska

ich naszych przodków

Gać - Izbica - Kluki (pomost widok.) - jez. Łebsko - obszar ochrony ścisłej Marosza - Łokciowe - Smołdziński Las; 29,6 km i Smołdziński Las (pomost widok.) - jez. Dołgie Wielkie - obszar ochrony ścisłej Dołgie Małe (pomost j. w.) - jez. Dołgie Małe - obszar ochrony ścisłej Gardneńskie Łęgi (wieża wi-

go lata zaś - oczywiście - J. Grabowski oraz Maciej Kopeć z Łosina pod Kobylnicą i Jan Wolnikowski, jak lider z grodu nad Słupią).

Dla postawienia kropki nad „i” dodać musimy, że w tej trzydniowej eskapadzie turystyczno-krajoznawczej (za... 36 zł z kolegową, ciepłym posiłkiem, pieczeniem

- przedstawiciele słupskich szkół: AP (studenci - podopieczni dr. Roberta Bąka), SP nr 5 (wychowankowie Edyty Romańczuk-Ozdoby, Anny Wolikowskiej) i Ośrodka Szkolno-Wychowawczego (koło Wiesława Romańskiego), który o przyszłościowy włos wyprzedziło Główny Gimnazjum (opiekunka SK Renata Piecha-Ludko wspólnie z dyr. Marią Szymaniuk). Rej wodził we wszystkim: Jacek Grabowski, Tadeusz Krawczyk (Łębork), Łukasz Marszałek (Białogard!), W. Romański, Anna Stankowska, kmdr A. Taraszkiewicz oraz Paulina Klizlich i Natalia Kowalczyk z Klubu PTTK Mikołajek pana Jacka. Wspomagali ich z dużym oddaniem - co jest raczej rzadkim przypadkiem, by nie powiedzieć ewenementem - wójt gminy Smołdzino, Andrzej Kopiniak i dyrektor SPN - Katarzyna Woźniak.

Jeszcze jedno, arcyważne: tradycyjny już konkurs wiedzy o Słowińskim Parku Narodowym, który - rok w rok - „pilotowała” Karolina Ptak z SPN. Zwyciężyli w nim w 35. edycji, i to bezapelacyjnie, w dodatku dwakroć (w dwóch odrębnych grupach), uczniowie słupskiej „piątki” przed reprezentacją Gimnazjum w Głównych - obrończynią honoru gminy z lata 2008.

Gratulujemy laureatom. Nie tylko im resztą. Także - myślę - w pierwszym rzędzie, animatorom i realizatorom wędrówek tytułowym tropem siedlisk naszych przodków z kierującym PTTK w regionie od czterdziestu trzech lat (sic) Januszem Grabowskim na czele. Ponadto współgospodarzom rajdu - działaczom (czterdziesty drugi rok) Klubu Turystyki Pieszej Mikołajek.

Oby z każdym rokiem było więcej tego typu przedsięwzięć, inicjatyw. Jak najwięcej!

Jerzy R. Lissowski
Słupsk



Fot. J. Grabowski

dok.) - jez. Gardno - Suche Łąki - Smołdzino - Smołdziński Las; 21,3 km.

Żeglarze (Rok Turystyki Wodnej!), fani „wiatrówek” Omega: po Gardnie; tak przynajmniej zakładał plan regat, „wzorem” 2008 roku w dużej mierze sparaliżowanych w praktyce piekielnym upałem i suszą z przelotnymi, a później coraz dokuczliwymi burzami i wichurami do 6 i więcej stopni w skali Beauforta (wtedy nie poddało im się trzech arcymistrzów: Antoni Taraszkiewicz, Janusz Grabowski, Marek Harasim; te-

kielbasek przy ognisku etc.) brało udział, „zwyczajowo”, ponad 150 (w 2010 rekord: 204!) dziewcząt i chłopców z różnych województw - m.in. zachodniopomorskiego (Białogard, zaprzyjaźnione od 35 lat Sławno), wielkopolskiego (Jastrowie, Trzcianka), śląskiego (Cykarzew k. Częstochowy).

Warte odnotowania ciekawostki: wiek uczestników od 11 (Anna Ćwik) do 68 lat (Jerzy Berendt), oboje ze Słupska. Zdecydowany prym wśród jubileuszowych rajdowców wiedli również - jakże by inaczej

Nie znam piosenki ludowej, buraczanej, choćby takiej jak na swojską nutę o kujawiaku co to... kujawiak, kujawiaczek jeden.

Dziś nie powstają kawałki regionalne, a jeśli już to określenia przyklejane do ludzi ze wsi i to takie, których konotacja jest jasna i czytelna, oczywiście, brutalnie satyryczna i obśmiewcza

Burak ci ja, burak

Tytułowy burak - jam ci to, tak, tak, chłop miastowy, ale ze wsi, lub jak kto woli wsiowy, ale z miasta, pozwalam sobie na epitet chowu publicznego, lecz z wyboru własnego. Okolicznościowego i autoironicznie tylko i jednak niezasłużonego, o czym niżej. Otóż, jak ten burak schowany w wioszczynie, na skraju krajobrazowego parku rzeki Słupi, co ważne dla wymowy tekstu. Ośmieliłem się zrezygnować z współuczestniczenia w projekcie pn. „Program wykorzystania energii słonecznej na terenie gminy Kobylnica”. Świadomie wycofałem się z pierwotnej deklaracji zainstalowania solarów na swoim domu, rezygnując przy okazji z programowego dofinansowania inwestycji.

Trochę czułem się jak wszetecznik i łamistrąk, który brakiem zdyscyplinowania przyczynia się do zagrożenia zrealizowania projektu przez powstającą dziurę udziału finansowego i ilościowego, ważną dla 422 pozostałych mieszkańców gminy współfinansujących swoim udziałem gminny projekt. Przeszło mi to złe uczucie, bo poza zakwalifikowanymi 423 mieszkańcami jest jeszcze ponad setka chętnych do posiadania własnych solarów i darmowej ciepłej wody w prywatnych domostwach. Mam też wrażenie, przekonanie wręcz, że z przedsięwzięcia nie wycofał się już więcej nikt, co dobrze zaświadcza o świadomości i odpowiedzialnym potraktowaniu projektu przez zainteresowanych mieszkańców, a organizatorów ominie ryzyko wystąpienia problemów organizacyjnych, finansowych i innych logistycznych.

Co do mnie, to nie ukrywam, że wzrost kosztów partycypacji prywatnej z 2.860 zł do 4.128 zł, tj. o ok. 70 proc. nie jest całkiem obojętny dla kieszeni emeryta. Jednak ważniejszym jest to, że solarny temat wyprzedza w czasie rozwiązywanie istotniejszych problemów mojego siedliska.

Najważniejszym jednak jest inna bariera, nazwę ją inżynierskiej natury, tj. duże obycie z problematyką energii odnawialnej i ochrony środowiska, a jednocześnie duża rezerwa i wstrzemięźliwość w stosunku do

uczestniczenia w masówce inwestycyjnej. Co prawda raz wyłamałem się od zasad, no, ale uczestniczenie w zadaniu własnym gminy - programie budowy kanalizacji sanitarnej, w tym dla całej wsi, to jednak inny projekt, program i ranga. Inne też rozumienie problemu ścieków i kompleksu ściekowego w „przykrajobrazowej” wsi, swoisty przymus i obywatelski obowiązek.

Gdyby ktoś miał wątpliwości, że w kraju nie nastąpiły zmiany po 1989 roku, to może je wymieść z głowy. Dodam, że przynajmniej w zakresie podejścia, podejmowania rozwiązywania i finansowania przedsięwzięć dotyczących dbałości o środowisko naturalne. Modne staje się reagowanie proekologiczne: czysta gleba, woda i zdrowe powietrze przez zmniejszenie emisji dwutlenku węgla, itd., itp. Mnie satysfakcjonowały by bardziej deklaracje paru setek klienteli dla likwidacji pokryć eternitowych z dachów domów, budynków gospodarczych, szopek, komórek, no, ale solary na dachach tak ładnie wyglądają, nowocześnie. Cóż, projekt projektowi nierówny, kosztowne partycypacje i dofinansowania pewnie też. Zresztą, dachy z eternitem nie pogryzą się z solarycznymi, to i również urozmaicenie: pod miastem blachodachówka lub Braas, za miastem i na wioskach - eternit. To nierozstrzygnięty dylemat priorytetów, zdrowia, wygody i pieniędzy. Świadomości obywatelskiej skrojonej raczej na format rynkowy, towarowy. Jestem pewnie niesprawiedliwy, ale masowy run na solary kojarzy mi się z akcją wyprzedaży towaru po obniżonych, atrakcyjnych cenach w supermarketach. Mój kolega szepnął mi do ucha na spotkaniu informacyjnym w gminie, że ludziska nie przygotowali się do solarnego tematu i albo nie zdawali pytań w ogóle, podpisując umowy partycypacyjne w ciemno, albo w nabożnym uniesieniu akceptowali, też w ciemno, techniczno-ekonomiczne zawiłości, kompletnie nie rozumiejąc natury specyficznego problemu.

Nie chcę być posądzony o złą wolę i krytykę zjawiskowego wydarzenia, jakim



Fot. J. Maziejuk

jest znalezienie programu, przygotowanie go, zainteresowanie nim, jak liczę, ponad 550 chętnych. Gminie i organizatorom należą się ekologiczne brawa i odznaczeniowe blachy za skuteczność i aktywność ekologiczną adekwatną do potrzeb i możliwości zwykłych obywateli.

Taką konkretną sytuacją zakładającą dofinansowanie instalacji solarów na dachach kilkuset prywatnych domów byłby zachwycony Wacław Micuta - doradca energetyczny Komisji Gospodarczej Narodów Zjednoczonych (Sekretarzem Generalnym był wtedy Kurt Waldheim). Ten wysoki urzędnik Pałacu Narodów w Genewie propagował wykorzystywanie zasobów energetycznych najprostszych - utajonych w wodzie, wietrze, promieniach słońca, odpadach organicznych, oborniku. W Maroku na dachu szpitala instalował baterie słoneczne dla ogrzewania wody, wytwórnice

biogazu dla uzyskania wysokokalorycznego gazu w drodze fermentacji beztlenowej u farmera w Szwajcarii. Na wystawie w ONZ pito wodę mineralną z jego chłodziarki „napędzanej” biogazem, urzędniczki prały bieleźną w agrogazowej pralce.

Pan Wacław pisał mi w kwietniu 1980 roku, że „...ogrzewanie domku winno być zaplanowane tak, aby wykorzystać do maksimum energię słońca w sposób pasywny, jak i aktywny. Dobrze izolowany dom można ogrzać i mieć ciepłą wodę co najmniej sześć miesięcy w roku. W pozostałych miesiącach roku słońce służy jako dodatek do ogrzewania, chyba że decydujemy się na dodatkowe inwestycje, tj. postawimy magazyn ciepła - akumulator wody i zamontujemy pompę ciepłą, niezbędne

Jednakże, najgorsze są kompromisy, bo powyższy wiążąc uczestnika umową formalnoprawną eliminuje jakąkolwiek możliwość wpływu na zmianę lub „wzbogacenie” przyjętego „uniwersalnego” rozwiązania instalacji solarnej. Problem tkwi w szczegółach i m.in. w tym, jak to formułowało kilku uczestników spotkania: czy system się nie „przegrzeje” w upały, na czas urlopu, przez zanik zasilania elektrycznego itp.

Problem polega na tym, aby pozyskać całą energię słoneczną, by ją mieć w dyspozycji zawsze, kiedy jest potrzebna. Energię - moc promieniowania słonecznego wykorzystać optymalnie w różnych porach roku zależnie od natężenia promieniowania kąta padania promieni, liczby godzin słonecznych (uśłonecznienia). Sprawę rozwiązuje powierzchnia kolektora i jego sprawność, a te przyjmuje się zależnie od dobowego zużycia wody ciepłej średnio 60 l/osobę. Przyjmując półrocze letnie i sumę dziennego nasłonecznienia 1,3 kWh/m²/dobę, wylicza się powierzchnię kolektora w wysokości 4,8 m². Uwzględniając straty ciepłe całego układu i sprawność wymiennika ciepła powierzchnię kolektora, zwiększa się o ok. 15 proc. do ok. 5 ÷ 5,5 m². Zwiększenie pola powierzchni kolektorów tylko w nieznaczny sposób wpływa na zwiększenie wykorzystania energii.

Zasobniki - wymienniki ciepła - również się dobiera, uwzględniając dobowe zapotrzebowanie na wodę, pole powierzchni kolektorów i sposób dogrzewania. Pojemność zasobnika powinna być co najmniej taka jak dobowe zapotrzebowanie na wodę. Dopiero jednak większe zasobniki, pojemności równej dwu - lub trzykrotnemu dobowemu zapotrzebowaniu, zapewniają komfort korzystania z ciepłej wody.

Układ wykorzystujący energię słoneczną do przygotowania ciepłej wody jest typową instalacją grzewczą, która może być przegrzewana, ciśnienie w niej może się zmieniać. Potrzebne są więc elementy zabezpieczające ją, takie jak: zawór bezpieczeństwa, przeponowe naczynie wzbiorcze, odpowietrzenie i ogranicznik temperatury. Nie ma żadnej potrzeby demonizowania czy wymyślania problemów, które mogą się rodzić na etapie eksploatacji systemu ciepłej wody z kolektorów - solarów. Jak pisał wyżej wspomniany W. Micuta, wprowadzanie nowych energii wymaga

czasu, a ten szacował na pięćdziesiąt lat. Od 1980 roku mija trzydziesty rok i można powiedzieć, że dzięki postępowi technologicznemu rynkowa oferta jest już bardzo obszerna, co komplikuje i utrudnia możliwości rozpoznania nie tyle ofert, co głównie istoty grzejnictwa, nabycia wiedzy technicznej i innej przez zwolenników ekologicznych źródeł energii. Tu liczy się dobry, profesjonalnie przygotowany organizator, wykonawca i chętny eksploatacja.

Dzisiejsze czasy to nie okres, kiedy p. Wacław uznawał, że Decyzja Nr 9 Prezesa Rady Ministrów z 1980 roku dla wprowadzenia biogazu w rolnictwie polskim, to wielki krok naprzód w tej sprawie, a dla pierwszych instalacji trzeba koniecznie szukać entuzjastów i hobbystów. To w ich rękach instalacje pracują dobrze, a co więcej, służą oni jako cenni współpracownicy dla ciągłego doskonalenia sprzętu. Z takim poglądem całkowicie zgadzał się ówczesny wiceminister rolnictwa Kacała.

Nie tylko p. Micuta z Genewy pomagał wdrażać biogaz do polskiego rolnictwa. Nad rozwojem biometaniki stosowanej w rolnictwie z rozszerzeniem zadań o inne rodzaje energii naturalnych: wiatr, pływy wodne, promieniowanie słoneczne pracował inż. Ryszard Szemraj z OBR TOR Oddziału w Tarnowie. W Genewie praktykował i w kraju przenosił wiedzę inny ekspert i znawca problematyki biogazowej i energii słonecznej, współpracownik p. Micuty inż. Jacek Jańczak. W opiniach ww. znawców tematyki energii odnawialnej z lat 80. poza życzeniami powodzenia w wysiłkach i sukcesów w pracy nad wykorzystaniem taniej energii, przewijał się ciekawy wątek: wykonanie instalacji biogazowej „rodzinnej” w oparciu o odpady organiczne własne byłoby wydarzeniem technologicznym w Polsce. Budowa systemu instalacji opartej na biogazie i jednocześnie z wykorzystaniem z energii słońca, to byłaby już sensacja na skalę europejską i nawet w świecie - tyle W. Micuta.

Lata 80. to znamienne czasy, faktem jest, że życzeń kolegów inżynierów nie spełniłem. Próby zainteresowania biogazem i słońcem jednego z lepszych KPGR w województwie zachodniopomorskim i wdrożeń instalacji (drogich) w fermach trzody chlewnej, owczarni, cielętnikach nie powiodły się. Doświadczenia i wspomnienia z „czasu przepychanek” mam bogate. Przystałem „chodząc” wokół różnych ofert współpracy na przykład w zakresie dystrybucji urządzeń do pozyskiwania i przetwarzania energii odnawialnej - kolektorów słonecznych, pomp ciepła, ogniw fotowoltaicznych i innych. Nie zaistniała w latach 2000 forma współpracy, agencyjna, agencyjno-audytorska, salon wystawowy, licencjonowane biuro regionalne czy też firma projektowa, czy instalatorska.

Tu muszę przywołać jeszcze jedną ciekawostkę historyczną, a dotyczy ona



sterowanie systemem. To w latach 80. jest kosztowne, a pomp ciepła w PRL nie dostanie się. Rozsądny kompromis to słońce i na przykład odpady drzewne: stawia się instalację c.o. z piecem - bojlerem służącym do gotowania i ogrzewania przy tym wody. Ta płynie do grzejników. Słońce podgrzewa wodę, jeśli to nie wystarcza, pali się suche odpady z drewna...”

Można powiedzieć, że powyższe zdania stanowią minimalny poziom wiedzy elementarnej „z czym się to je” i od lat 80. nic się co do ogólności nie zmieniło. W tym też zakresie należy odbierać gminny projekt solarny, który jest niczym innym jak kompromisem między rozwiązaniem technicznym a kosztami, w tym dotyczącymi udziału uczestnika programu, dokonującego wyboru oferty instalacji dla ciepłej wody lub ze wspomaganiem układu c.o. pompą ciepła.

angażowania się różnej maści hobbystów wokół tematu paliw niekonwencjonalnych. Sięgam do zaproszenia na Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków Stowarzyszenia Wykorzystania Energii Niekonwencjonalnej z kwietnia 1992 roku oraz sprawozdania Rady Głównej SWEN za lata 1988-1992. To niezmiernie ciekawa materia i wynika z niej, że SWEN powstał w styczniu 1988 roku. W ww. czasie działalność stowarzyszenia charakteryzowały okresy: promocji i ekspansji w latach 1988-1989, stabilizacji w 1990 roku, gwałtownego załamania w 1991, poszukiwań w nowej rzeczywistości w 1992 roku. Uznawano, że o sile organizacji decydował stan jakościowy i ilościowy jej członków. Do kwietnia 1988 roku przynależność zgłosiło 147 osób, w okresie kulminacyjnym było ich 935. Z deklarujących wypełnianie obowiązków statutowych, żywotnie zainteresowanych wykorzystaniem alternatywnych źródeł energii pozostało w 1992 roku - 245 osób. Powstały trzy oddziały terenowe, niestety, wkrótce po ich powstaniu zawiesiły działalność, głównie z przyczyn finansowych.

W roku sprawozdawczym finanse stowarzyszenia zbliżyły się do granicy, której przekroczenie określa się mianem bankructwa. Uznano, że słuszną drogą pozyskiwania środków finansowych na promowanie wykorzystania niekonwencjonalnych źródeł energii, winno być prowadzenie działalności handlowej. Taką podjęło Centrum Wdrożeniowo-Produkcyjne (własny podmiot gospodarczy stowarzyszenia) po nieudanych próbach produkcyjnych (zamiast zysków - straty) okresowe zawieszenie i ponowne wznowienie działalności. Inny podmiot - Fundacja Energia Jutra nie podjęła żadnych działań.

Tu podkreślić trzeba, że wyraźnie zadeklarowany był udział stowarzyszenia w szerzeniu oświaty ekologicznej, utożsamianie z działalnością ekologiczną i współuczestnictwo w zapobieganiu dalszej degradacji środowiska.

Pomijam z wiadomych względów programowe pomysły podejmowania różnych działań, a z satysfakcją przyglądam się liście zainteresowanych kontaktami z osobami o podobnych zainteresowaniach, co mogło owocować zaczątkiem komisji/grup tematycznych i poziomą wymianą doświadczeń i udrożnieniem informacji ekoenergetycznej.

A zainteresowania ludzi były ekoenergetycznie ogromne: energia słońca, energia z drewna, pompy ciepłe, produkcja urządzeń ekoenergetycznych i automatyka w urządzeniach, paliwo rzepakowe, wodór, akumulacja energii. To właściciele siłowni wiatrowych, własnych stacji doświadczalnych, elektrowni wodnych, biogazowni, kolektorów słonecznych, nawet wiatraka holenderskiego, itp. To eksperci, fachowcy z doświadczeniem eksploatacyjnym, projektanci, branżowe autorytety.

Smutek mnie trochę ogarnia jak przypominam sobie, co mówił mi inż. Andrzej Adamczyk, członek Rady Głównej Stowarzyszenia, jeden z autorów technologii paliwa rzepakowego „...w stowarzyszeniu życie zamarło, stoją gdzieś poza nim...” o biopaliwie z rzepaku pisał w maju 1993 roku „... badania silników zasilanych olejem rzepakowym prowadzi Instytut Lotnictwa, a paliwo syntetyzują w Zakładach Azotowych w Kędzierzynie. Cała sprawa bardzo opornie toczy się do przodu. Ale toczy...”

Przez wiele lat podbudowywałem się ekoenergetycznie z różnym skutkiem, by

stwierdzić dziś, co nie jest wcale odkrywcze, że rynkowa rzeczywistość A.D. 2010 wniosła do kraju pieniądze i tak mało trzeba, żeby umiejętnie spożytkować je na proekologiczne przedsięwzięcia. Tak jak to się robi na terenie gminy Kobylnica, korzystając z dofinansowania z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego projektu dla ludzi i chorego środowiska. Oczywiście w partnerstwie ze Stowarzyszeniami Wspierania Inicjatyw Lokalnych „Gmina 2010” i Gmin Przyjaznych Energii Odnawialnej. Krzepnących w siłę, po zebraniach informacyjnych, w dziesiątki nowych członków - przyszłych użytkowników kolektorów solarnych.

Pora kończyć wspominki i refleksje, które nasunęły mi się po spotkaniu organizacyjnym w gminie, jednak bez dodatkowych wniosków i konkluzji, by nie być posądzonym o przesadną zgryźliwość w temacie. Jedno jest pewne: ekologiczna świadomość obywatelska przewija się przez rynek i rynkowy produkt solarny w sposób widoczny i konkretny. Świadczy to o tym, że rezolucja Sejmu RP z dnia 8 lipca 1999 roku w sprawie wzrostu wykorzystania energii ze źródeł odnawialnych ma swój praktyczny wymiar, potwierdza m.in. stworzenie warunków prawnych i finansowych do aktywnego uczestnictwa podmiotów gospodarczych, samorządów, organizacji pozarządowych oraz osób fizycznych w rozwoju energetyki odnawialnej, z uwzględnieniem specyfiki tego sektora, opierającego się głównie na instalacjach małych, rozproszonych. Na naszych oczach dzieją się proekologiczne zdarzenia, o których w latach 80. można było tylko poma-
rzyć.

Czesław Guit, Lubuń

Badania w Salusie

W Niepublicznym Zakładzie Opieki Zdrowotnej Centrum Zdrowia SALUS przy ulicy Zielonej 8 w Słupsku wykonywane są bezpłatne badania USG piersi, z których mogą skorzystać mieszkanki powiatu słupskiego w wieku 30-39 lat. Wykonują je doświadczeni specjaliści radiolodzy na najwyższej jakości aparatach ultrasonograficznych, a współfinansuje Starostwo Powiatowe w Słupsku. Przy zapisywaniu się na badanie nie jest wymagane skierowanie i nie jest istotne, której przychodni jest się pacjentką.

W tym samym Zakładzie SALUS wykonywane są też na najnowocześniejszym mammografie - Mammomat 1000 firmy Siemens badania mammograficzne dla kobiet w wieku 50-69 lat ze Słupska i powiatu słupskiego, które nie wykonywały ich w ciągu ostatnich dwudziestu czterech miesięcy. Na te badania, finansowane przez Narodowy Fundusz Zdrowia, również nie potrzeba skierowania i nie jest istotne, której przychodni jest się pacjentką. (T.W.)



Historia nie tylko rodzinna (cd.)

Tatuś natychmiast ruszył konno do Pniewa i Rowów, a mamusia pieszo do Podgórze. Zawiadomili robotników leśnych i kogo się dało, by nikt nazajutrz nie wchodził do lasu. O świcie następnego dnia Welk, Sokołowska i Rawa przyszli po rodziców. Zostałam sama z przykazaniem, że nie mogę ruszyć się z domu, póki nie wrócą. Nasza gajówka stała jakieś dwieście metrów od szosy Łomża - Białystok. Kawałkiem było pole, rósł las, ale z domu było widać szosę. Ukryli się w krzakach i obserwowali. Najpierw jechał gązik, za nim duża buda i trzeci samochód pełen żandarmów. Wjechali z szosy w leśny gościniec z Pniewa do Podgórze, jakieś dwieście, trzysta metrów za naszymi zabudowaniami. Samochody zatrzymały się. Po chwili padły strzały: dwanaście, cisza i jeszcze jeden. Samochody odjechały w takim samym porządku. Welk ze swoimi i rodzice poszli w to miejsce. Gościniec był piaszczysty, więc widać było ślady kół i butów. Zdawali sobie sprawę, co zaszło, ale nie widać było nigdzie świeżej ziemi. Wtedy tatusiowi dziwny wydał się las, którego przedtem nie było. Podeszli i zaczęli wyciągać powtykane drzewka. Pod nimi w świeżej ziemi leżały zwłoki. Zaraz Rawa pojechał do Łomży, by zawiadomić kogo trzeba. Przerażony Welk wrócił do domu. Tatuś poszedł niby cechować drzewa, naciął na drzewach kilka krzyżyków, ale głównie obserwował okolicę. Przed wieczorem przyjechała starsza pani z Łomży. Zapalili znicz, przybili święty obrazek. Rawa przywiózł wieści: wykonano egzekucję na pracownikach łomżyńskiego sądu. Oburzenie ludności sięgało zenitu. Oskarżano się, że nikt nie powiadomił partyzantów, którzy nie dopuściliby do tej zbrodni. A przecież tatuś zrobił to, co mógł zrobić. Ludzie wiedzieli, że Niemcy coś szykują.

Od tych wydarzeń Welk obawiał się partyzantów. Okna i drzwi leśniczówki były zabezpieczone podwójnymi okiennicami, ale bał się, że w takiej twierdzy spłonie żywcem. Nocami grał w karty, kazał przychodzić mojemu ojcu i panu Rawie. Pewnego wieczoru od strony szosy usłyszeli turkot wozu i jakieś głosy. Byli pewni, że to żandarmi z Puchał jadą dokończyć wieczór u Welka. Tatuś i Rawa uciekli przez taras. Rawa pobiegł do lasu, a tato do domu. Kazał nam skryć się w życie obok. W alejce słyszał było kłótnie po polsku. Welk pewnie zorientował się, że to partyzanci, wziął automat, granaty i wszedł w las. Tatuś i Rawa nie mieli broni, na tyle Welk im nie

ufał. Słyszeliśmy strzały i krzyki, bieganie. Było ciemno. Po chwili przybysze wycofali się na szosę w kierunku Pniewa i wszystko ucichło. Przyjechała natomiast zawiadomiona przez Welka żandarmeria. Przesłuchali Rawę i tatusia, ale Welk dał im alibi, więc zostali zwolnieni. Następnego dnia we wsi mówiono o dwóch rannych partyzantach. Jechali z okolic Śniadowa, gdzie rozbili niemiecki pociąg z żywnością na wschodni front. Wracając na rauszu pomylili drogę, pomyłkowo wjechali do leśniczówki, wycofać się na wąskiej drodze było trudno. Od tego zdarzenia dniem baliśmy się Niemców, nocą partyzantów, ale kolejne dni mijały.

Jesienią Welk wyjechał do domu, do Prus. Wtedy któreś nocy usłyszeliśmy łomot do drzwi i krzyki. Tatuś w białizinie otworzył. Dwaj młodzi mężczyźni o nic nie pytając, bili go czym popadło: wyciorem, kolbą. Upadł na kufer, krew tryskała z pleców. Mamusia krzyczała, próbowała go bronić, ale wyprowadzili ją do kuchni. Ja z łóżka patrzyłam na wszystko i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wszedł dowódca z innymi, krzyknął do bijących, żeby odeszli, mówił coś do tatusia. Kiedy posadzili go na skrzyni, powiedział tylko: „Nie jest prawdą, co mi zarzucacie. Nie mam i nie miałem broni, leżałem w życiu. Wszystkie wiadomości przekazywałem ludziom, z którymi miałem kontakt, oni to potwierdzą”. Kazali wynosić nasze rzeczy, dwaj partyzanci wyprowadzili tatusia i położyli na wyniesionej pościeli. Przeszukali jeszcze całe mieszkanie, znaleźli skrytkę z dokumentami, przejechali i oddali. Podpalili gajówkę i kazali powiedzieć żandarmom, że to zrobili ruskie. Nim odjechali, mamusia załała ogień, ale paliła się stodoła z naszymi czterema świnkami i obora. Luna sięgała nieba. Ktoś zdążył wypuścić krowę i konie. Wkrótce przybiegli ludzie z Rowów i Podgórze, przyjechała żandarmeria z Puchał i Łomży. Szukali śladów, przesłuchiwali Rawę, Sokołowską i mamusię, którzy zgodnie mówili, że na pastnicy zaciągali z ruska. Kazali sołtysowi postawić wóz, zawieźli tatusia do szpitala w Łomży. Mnie z mamą i naszymi rzeczami znajomi przewieźli do cioci Popiołkowej do Podgórze. Nazajutrz mamusię wezwano do pewnego mieszkania w Łomży, gdzie kilku mężczyzn wyjaśniało, co zaszło. Mówili, że wprowadzono ich w błąd co do poprzedniego zdarzenia i żeby już się nie bać. Zadbali też o tatusia, przynosili miód, mięso, wynagrodzili lekarzy. Tatuś wyzdrowiał i kazano mu pracować jak dotychczas.



Fot. J. Maziejuk

W leśniczówce u Hansa Welka szefowie łomżyńskiego starostwa, żandarmi i gestapo urządzali suto zakrapiane polowania, po czym odjeżdżali. Któregoś dnia było inaczej. Przyjechali gestapowcy, jeździli gązikiem po lesie, a kiedy odjechali, Welk przyszedł do nas, chwilę rozmawiał z ojcem i odszedł

Obawy nas nie opuszczały. Wystarczyła nierozważna skarga któregoś sąsiada, a partyzanci pojawiali się nocą i bez sądu, bez wyjaśnień bili lub zabijali. Rodzice mieli powiązania z ludźmi podziemia, ale z ostrożności nikt się z tym nie obnosił. Życie toczyło się dwiema warstwami, zwykłą, z codziennymi czynnościami i tą tajemną, ukrytą przed Niemcami, a często i przed swoimi. Po pożarze na leśniczówkę zaadaptowano nowy budynek szkoły w Podgórzu. U góry zamieszkał Welk, na dole my i Sosańscy, którzy przyjechali z rzeszowskiego, gdzie bandy UPA wydały na leśniczego Sosańskiego wyrok śmierci. Mieli dwoje dzieci, spodziewali się trzeciego.

Boże Narodzenie

Przed Bożym Narodzeniem Welk powiedział mamusi, żeby zaprosiła jego żonę i syna do nas na Wigilię. Chcieliby poznać nas i zwyczaje Polaków. Przywiózł potrzebne produkty. No cóż, urządziliśmy wszystko pięknie. Choinka stała wystrojona w łańcuchy i aniołki z bibułki, jabłuszka i ciasteczka, na czubku lśniła gwiazdka z pozłotką ze świeczką w środku. Potrawy były postne, ale tradycyjnie: dwanaście. Niemka była zachwycona, dzieliła się z nami opłatkiem. Tatuś zaczął „Bóg się rodzi”, a dalej śpiewaliśmy razem. Na pierwszy dzień Bożego Narodzenia zaprosili nas do leśniczówki. Dostałam talerz słodczy, mamusia i pani Sokołowska jedwabne pończochy, a tatuś kilka paczek papierosów. Potem był obiad i różne rozmowy. Leśniczy był tłumaczem. Z ich synem Wolfgangiem porozumiałam się szybko. Trochę na migi, kilka słów po polsku znał od robotnika Polaka z Rowów, którego Wolfgang polubił. Do zabawy wystarczyło. Kiedy wyjechali, Welk był zadowolony. Jego żona zmieniła zdanie o Polakach, których uważała za nieokrzesanych. Przyjeżdżali później kilkakrotnie. Z Wolfgangiem włączyliśmy się po lesie, unikał ludzi, bał się. Kiedy wyjeżdżał, dostawałam kartkę: „Meine liebe Maruska”. Potem pisał robotnik Polak, a on kończył: „deine Wolfgang”. Wtedy pojęłam, że wśród tego piekła są wściekle hitlerowskie psy i normalni Niemcy, a może był to tylko czar tej jedynej w roku nocy.

Wesele Łodzi Wiśniewskiej

Był już rok 1943, wiosna. Nadchodziły wieści, że Niemcy, bici na wschodzie przez Rosjan, cofają się. A u nas w maju, w Zielone Świąta, wydawała się za mąż Łodzianka Wiśniewska, której rodziców w czterdziestym wywieźli na Sybir. Zaprzyjaźniłam się z nią przy gotowaniu kapuśniaku dla chłopców z lasu, wśród których był jej brat Czesiek. Teraz ukrywał się przed Niemcami. Mieszkaliśmy już w Podgórzu, gdzie po pożarze na leśniczówkę zaadaptowano nowy budynek szkoły, położony w środku wsi przy

szosie z Łomży do Zambrowa. U góry zamieszkał Welk, ale właśnie wyjechał do domu do Prus, na dole my i Sosańscy, którzy przyjechali z rzeszowskiego, bo bandy UPA wydały na leśniczego Sosańskiego wyrok śmierci. Mieli dwoje dzieci, spodziewali się trzeciego. Był ślub Łodzi i obiad weselny, na którym byłam z rodzicami. Przyszliśmy właśnie do domu na wieczorny obrządek. Później rodzice szli na wesele zabawę, ja miałam zostać w domu. Nie w smak mi to było. Obrażona siedziałam na łóżku w pokoju. Mamusia w oborze doła krowy, tatuś z Sosańskim rozmawiali w kuchni, dołączył do nich kowal Jarota z flaszką i synem, po chwili pani Sosańska z dziećmi i sąsiadka Kamińska. Popijali i zakaszali plackiem drożdżowym, który tato położył na stole. Czekali na mamusię. Usłyszeli głośnie pukanie. Jarota, siedzący najbliżej drzwi, krzyknął: „Proszę,” i dodał: „właźta, lezie-ta jak banda”. Drzwi otworzyły się z hukiem, wpadło kilku ludzi z bronią. Złapali Jarotę za barki i od razu pałą po plecach. Nadaremnie próbował się tłumaczyć. Widziałam z pokoju, co się dzieje, otworzyłam okno, przełożyłam nogi i... poczułam czyjaś rękę na karku. Wysoki mężczyzna z bronią trzymał mnie za kark nad ziemią: „Mała, ty dokąd, dawaj z powrotem”. Miałam jedenaście lat, ale byłam drobna. Krzyczałam, że ja do mamusi, do obory, do krowy. Zaprowadził mnie do dziewczyny, która była z nimi, kazał pilnować i oddać mamie. Po chwili byłam z mamusią, która właśnie wchodziła. Wprowadzili też pod bronią chłopców i dziewczęta z Podgórza. Weszli do domu, wszystkim kazano położyć się na podłodze. Mamusi znów nie było, ale mleko stało na kuchni. Okazało się, że obie z Sosańską musiały pokazać mieszkanie Welka na górze. Kiedy wróciły, Sosańską z dziećmi posadzili na łóżku w kuchni, ja siedziałam przy tatusi na podłodze. Najpierw kolejno przepytawali, czy komuś wydają się znajomymi. Rozpoczęli swoje sądy. Pierwszy ucierpiał pan Sosański uderzony kilka razy gumową pałką. W jego obronie ktoś się odezwał, zaczęły się krzyki, obrońca uciął i wsunął się pod łóżko. Nikogo nie wypuszczali, nawet za potrzebą. Kobieta na łóżku nie wytrzymała, wszystko spłynęło na tego, który się tam wczłogał. Krzyczeli jeszcze chwilę, zabronili wychodzić do rana i poszli. Zmoczony wyszedł spod łóżka, inni też zaczęli wstawać. Wtedy znów z hukiem otworzyły się drzwi, wszyscy padli, a oni kazali stanąć pod ścianą w kuchni. Wprowadzili czterech chłopców. Zaczęło się przesłuchiwanie i bicie. Chłopcy tłumaczyli się, że idąc szosą, zobaczyli ludzi w niemieckich mundurach z psem, nie mieli szans na ucieczkę. A że byli junakami z obozu w Szepletowie, postanowili powiedzieć, że idą na przepustkę do domów. Nie wiedzieli, że to przebrani partyzanci. Teraz przyznali się, że są uciekinierami, że szli do domów z zamiarem do-

łączenia się do partyzantów. Przesłuchujący nie uwierzyli. Bito ich strasznie. Mama i pani Sosańska zarzuciły nam, dzieciom chustki na głowy, byśmy tego nie widziały. Zrobili swoje i poszli, zabierając motocykl Rawy, akordeon Sosańskiego i deresze Welka. Mama i pani Sosańska dały prześcieradła i opatrywały pobitych. Znów otworzyły się drzwi. To jeden z chłopców, który niezauważony wyskoczył przez okno, teraz nas uwolnił. Przyjechali żandarmi, wśród nich byli Ukraińcy. Przesłuchiwali, szukali, ale nikogo nie znaleźli. Nie wiedzieć czemu, zabrali obrońcę Sosańskiego, J.W. podobno przeżył obóz w Prusach, ale zmarł po uwolnieniu. Po kilku dniach przyjechali ojcowie pobitych, chcieli wiedzieć, kto skrzywdził ich synów. Też niczego się nie dowiedzieli. Wrócił Welk. Dostał nowe konie, a Rawa i Sosański nie odzyskali niczego. Wesele Łodzi obyło się bez tańców. Po prostu, prawa wojny nie są na wesele.

Niemcy dostali cięgi pod Stalingradem, wracała nadzieja na normalne życie. Tymczasem w czerwcu wraz z innymi dziećmi chodziłam na nauki przed Pierwszą Komunią Świętą. We wsi przechodził na prawą stronę szosy i poboczem lub rowem sziłyśmy dziewięć kilometrów do Łomży. Szosą jechały niemieckie samochody z wojskiem lub cywilami. Cieszyliśmy się, że uciekają do Prus. Komunia była skromna i połączona z bierzmowaniem. Miałam białą, zrobioną na drutach, sukienkę. Dobrze, że skończyły się codzienne wędrówki do Łomży, bo samochodów i wozów z uciekinierami było coraz więcej.

Żandarm Radke z Puchał

Postrachem okolicy był Radke, zwany Radko, bo przechwalał się: „Nie będę nazywał się Radko, jak nie zostawię Polaków rzadko”. Rodzinę miał w Łodzi, nim przyszedł Niemcy był sierżantem w polskim wojsku w Zambrowie. Potem został niemieckim żandarmem. Pierwszą jego ofiarą był Janek Bąkowski. Po dwóch latach robót przymusowych w Niemczech przyjechał na urlop. Wieczorem przechodził przez podwórka do sąsiadów. Żandarm zabił go z automatu dla zabawy. Kolejną jego ofiarą był Czesiek Wiśniewski, który ukrywał się przed Niemcami. Został skazany na więzienie za zabicie wieprzka na święta. Żandarmi przyszli w pierwszy dzień Wielkanocy. Nie miał szans na ucieczkę, schował się pod siennik na łóżku, żona z córeczką położyły się na nim, przykryły pierzyną. Otworzyła siostra. Wpadli, wyrzucili żonę z dzieckiem. Radke serią z automatu przejechał po łóżku, po czym kazał zdjąć siennik. Zawołali sąsiadów, kazali wykopać dół w ogrodzie, zawinąć ciało w kapę i zakopać. Przeszukali mieszkanie, ale nic nie znaleźli i odeszli. Następnego dnia za zgodą księdza pochowano Cześka w trumnie na cmentarzu w Łomży. Miał osiemnaście dziur po kulach. Radke zamordował czterech chłopców,

którym udało się uciec z Niemiec z robót. Byli blisko domu, ale zmęczeni. Zatrzymali się w Podgórzu u Archackich. Jedli posiłek, kiedy wpadli żandarmi zwabieni światłem w szparze okna. Wyłamali drzwi, wtedy wszyscy padli na ziemię. Zaczęli chłopaków przesłuchiwać. Tłumaczyli się, że jadą z Prus na urlop. Wyprowadzili ich na drogę, kazali uciekać. Wtedy Radke zabił ich serią z automatu. Padli na skarpie po przeciwnej

in Wald, ich habe Essen". Trochę się bałam, ale byłam dumna, że mam do wykonania ważne zadanie. Póki szłam przez wieś, było dobrze, powtarzałam co chwila niemieckie zdanie. W lesie bałam się, a gdy skręcałam w ścieżkę do szkoły, zobaczyłam gazik z trzema żandarmami. Jeden zawołał: „Gdzie idziesz, mała”. Automatycznie wyrecytowałam: „Meine papa...”. Zaczęli się śmiać, a do mnie dotarło, że pytali po polsku. Po

chwili byłam w szkółce, powiedziałam tatusiowi, że przysłał mnie Welk z wiadomością, by nikt nie opuszczał szkoły aż do jego przyjazdu. Nie trwało to długo.

Przyjechał, robotnicy poszli do domów i my mogliśmy wrócić. Nazajutrz przyszedł pan Strzemiński, nauczyciel z Pniew, z którym tatuś kontaktował się w ważnych sprawach. Niemcy gdzieś w lesie zabili Dąbrowskiego z Pniew. Kiedy weszli Niemcy, wstąpił do tzw. czarnej policji w Puchałach. W krótkim czasie uciekł do lasu, zabierając broń i mundur. Żandarmi nie darowali mu

tęgo. Teraz tatuś i Strzemiński szukali jego grobu. Jak zawsze doprowadziły ich ślady samochodu. Po drugiej stronie drogi, gdzie wcześniej rozstrzelano pracowników sądu, w otwartym dole leżał młody Dąbrowski, w polskim wojskowym mundurze, butach, z pasem. Zdjęli pas, z kieszeni zabrali osobiste drobiazgi, by oddać rodzinie. Wtedy usłyszeli samochód. Schowali się w zarośla. To żandarmi przywieźli dwóch mężczyzn, wyglądających jak więźniowie. O coś pytali, padały odpowiedzi, ale ukryci tego nie słyszeli. Wtedy następni z gazika na rozkaz zasypali grób i wszyscy odjechali. Wieczorem Strzemiński powiadomił rodzinę. Nocą zabrano zabitego i pochowano na cmentarzu w Puchałach. Rodzice i kilka dni wcześniej poślubiona młoda żona

Dąbrowskiego, przeżyli. Po kilku miesiącach urodził się jego syn.

Rok 1944 i 1945

Nadal mieszkaliśmy w szkole przy szosie. Widzieliśmy samochody z żołnierzami i wozy uciekających Ukraińców. Bali się tak samo jak my i byli zupełnie inni od tych, którzy przyjeżdżali z Niemcami na oblawy. Jechali całymi rodzinami, z dobytkiem, nocowali w stodołach lub pod gołym niebem i jechali dalej. Spieszyli się. Za nimi przyszli Niemcy, zajęli szkołę, gdzie urządzili polową piekarnię dla wojska, a my znów szukaliśmy mieszkania u znajomych. Przyjęli nas Kotarowie. Niemcy przywieźli też ludzi, którzy rozkopywali zbiorowe mogiły w okolicy, prawdopodobnie na ludzkie szczątki lali benzynę i palili. Łuny, dym i swąd widzieliśmy i czuli kilka dni.

Potem przyszli inni. Zabrali mamusię do kopania okopów pod Zambrowem, później bliżej, koło Wygody, w końcu większą liczbą ludzi kopali rów przeciwczołowy pod Podgórzem. Zbliżał się wschodni front, gospodarze wiedzieli, jak się przygotować. Tatuś i pan Kotara urządzili świnio-bicie. Mięso dobrze nasolili i w beczkach zakopali w stodole, ale nie było już czasu, by przerzucić tam słomę. Musieliśmy opuścić dom i uciekać za Narew do Prus. Podgórzanie ładowali na wozy dobytek, było wiązali do wozów i jechali. Zatrzymaliśmy się najpierw w Gielczynie u Geszterowiczów. Obszerne zabudowania były puste, bo właścicieli wywieziono na Sybir. Były z nami siostry mamy z rodzinami. W niedzielę ciocia Janina z dziećmi usnęła w cieniu wozu, starsze dziewczynki spały w stodole, wujek gdzieś wyszedł. Niespodziewanie rozległ się huk. Za stodołą rozerwał się pocisk, drugi na środku podwórza, przy wozie. Ciocia i dwuletnia Jadzia zginęły od razu, ośmioletni Henio był ciężko ranny, tylko czteroletni Ludwiś ocalał. Jeszcze jeden wybuch, w polu, gdzie uciekali przerażeni ludzie. Zginęło dziewięć osób, kilkanaście było rannych. Nie było pomocy, lekarza, opatrunków. Henio umierał przy ojcu i kłęczących przy nim siostrach, Irce i Zosi, pod kopką żyta. Wokół byli ludzie, była świecona woda, świeca i krzyżyk, nie było ratunku. Mężczyźni wykopali grób, złożyli ciała owinięte w płachty i zakopali. Wetknęli w ziemię naprędce zbity krzyż, a nas popędzono do Łomży. Później oświadczone, że to Rosjanie źle obliczyli pole ostrzału. Nikt się nie tłumaczył, a zginęli niewinni.

Zapędzono nas do Starej Łomży. Zatrzymaliśmy się u znajomych. W dużym ogrodzie między wzniesieniami stał stóg. Przespaliliśmy tam noc, później tatuś przygotował ziemiankę przykrytą trawą lub sianem dla bydła i koni. Spaliśmy w niej nocą, a za dnia mężczyźni chowali się przed Niemcami. Któregoś dnia przyszli i strasząc granatami wyprowadzili mężczyzn, wśród nich i tatę. Odtąd nocą przebywali pod strażą w



stronie drogi. Tam ludziom z sąsiednich domów kazali ich zakopać. Następnego dnia ktoś zawiadomił rodziny. Przyjechali spod Zambrowa z trumnami. Trudno sobie wyobrazić rozpacz bliskich. Grób na skarpie był jeszcze po wojnie, a szkolne dzieci stały tam kwiaty. Bestią jest wojna i jej ludzie.

Pan młody z Pniew

Do leśniczego znów przyjechali żandarmi, krótko z nim rozmawiali, i znów mamusia dostała polecenie, w którym i ja miałam uczestniczyć. Dostałam polecenie, by pójść do szkoły leśnej do tatusia. Pracował tam z ludźmi odrabiającymi szarwark. Gdyby w drodze zaczęli mnie żandarmi, miałam powiedzieć: „Meine papa arbeitet

stodole, a w dzień kopali okopy. Zostałyśmy same. Wiedzieliśmy, że popędzą nas dalej. Mamusia z panią Kłosińską piekły chleb na podróż. Zdążyły właśnie wsadzić bochny do pieca, gdy pojawili się Niemcy, kazali zapręgać i jechać. „Schnell, herausfahren!” – krzyczeli. Wcześniej zabrali nam krowę, nasze rzeczy leżały na wozie Kotarów, więc ruszyliśmy natychmiast. Kiedy w Łomży dojeżdżaliśmy do mostu na Narwi, ktoś otworzył bramę, przejechaliśmy przez jakieś podwórko i zatrzymaliśmy się za murem kościoła szarytek. Bramę zamknięto. Inni pojechali dalej. Nie wiem, kto zorganizował ucieczkę. Kiedy wszystko ucichło, mamusia i pani Kłosińska wróciły po chleb. Szły przez pola, ale przed wieczorem wróciły. Spiekł się za bardzo, ale smakował wybornie. Wozy stały na klasztornej polu, mienia pilnowali mężczyźni, a kobiety z dziećmi siedziały w piwnicach sąsiednich domów.

Rankiem następnego dnia Niemcy zakładali ładunki wybuchowe w domach na linii Narwi. Przyszli i do naszej piwnicy. Byli na rauszu, dostali wódkę i zapomnieli o Bożym świecie. A świtem kolejnego dnia

zza Łomży odezwały się katusze. Kule jak rozpalone żagwie przelatywały nad nami za Narew. Wybiegliśmy z piwnic w pole, ale nie było gdzie się schować. Mamusia złapała mnie za rękę i wciągnęła do jakiegoś okopu. Leżałyśmy, o dziwo, wśród pierzyn i poduch. Po chwili ucichło wszystko. Mamusia wyjrzała. Biegła w naszym kierunku kobieta z dzieckiem, córka znajomych, krzycząc: „Niemców nie ma, są już Rosjanie”. Śpieszyliśmy do wozów, by wracać do Podgórze. Na szosie mijaliśmy czołgi, działa, rosyjskich żołnierzy. Pozdrawialiśmy się, nikt nas nie zatrzymywał. We wsi nie było dużych zniszczeń, więcej było drobnych kradzieży. Od razu było wiadomo, kto co zabrał, toteż wiedzieliśmy do kogo zwrócić się po swoje. W stodole ktoś przerzucił słomę, szukał beczek z mięsem i rozczarował się. Pod słomą czekały na nas. Wykopano je, a kobiety obsuszyły mięso. Teraz przyszli Rosjanie i kazali nam opuścić wieś i jechać pod Zambrow ze względu na front. Tym razem jechałyśmy z siostrą mamusi, jej mężem i synami: Tomkiem i Gienkiem, od których dostałam zrobiony

ze śruby pierścione z wygrawerowanym orłem. Dojechaliśmy do Brzeżnicy, ale było tam tylu wysiedleńców, że spaliliśmy pod wozem. Wróciliśmy i znów nas wygoniono. Tym razem pojechaliśmy w góry pod Czerwony Bór. Tam wykopaliliśmy ziemianki i w nich mieszkaliśmy, a jako że pierwszy w taki sposób zamieszkał Jan Mazguła z rodziną, ziemiankową osadę nazwaliśmy Mazgułowo. Kończyło się lato. Zboże sypało się z kłosów, więc kto mógł, kosił i przywoził do Mazgułwa. Przywieziono też kierat i cepy, a nawet małą młocarnię. Mamusia pomagała innym, w ten sposób zarobiła dwa worki żyta i zmeła je w żarnach. Jednocześnie kopano kartofle, jak kto mógł. Mamusia musiała czekać, aż rolnicy wykopią i zwiózają swoje. Kopała, zsypywała w małe kopczyki, później ktoś pomógł je zwieźć, część jednak ktoś zabrał. Jesień mijała, tatusia jeszcze nie było, nie miałyśmy żadnych wiadomości. Miałyśmy mąkę, suchary, mięso i ziemniaki. Miałyśmy też nadzieję, że wojna się skończy. Na Boże Narodzenie mamusia upiekła cztery blachy chleba. Ze zmarzniętych buraków przyniesionych z dworskie-

Jesteś stąd bardziej niż

Od ponad trzydziestu lat przyglądam się chatom przysiadłym wzdłuż szosy do pobliskiego Darzkowa i domostwom tej chyba najważniejszej drogi, kamienistego traktu zmierzającego do pobliskiego jaru, gdzie wychodziło się na otwarte pole w kierunku Suchorza

zapraszasz mnie do Podwilczyna zamaszystym gestem dłoni, ty która znałaś tu wszystkich, przez żeliwne krzyże mam poznać przeszłość, aby tropić meandry rzeczywistych zdarzeń, gdy mnie tam nie ma, jesteś przy mnie, bo jesteś jego częścią

Na wzniesieniu podwilczyńskiej góry, stojącym w zadumie miejsca, pomiędzy prostokątami nagrobków, obserwującym okolicę wszystko wydaje się już dawno zapomniane, odkryte, zarejestrowane kamerami oczu. Od ostatniej wizyty nie przybyło nowych szczegółów. Wszystko, jeśli wszystkim można nazwać, uwzględniając domy i obejścia, jest jak jest. Dawne resztki żeliwnych krzyży, tarasowe wzniesienie, ta sama panorama przed nami, ten sam senny klimat wpisany w zapamiętywanie każdego nagrobnego napisu. Granitowe płyty wygładzone z dużą starannością ręką kamieniarza, obmyte deszczem ablucją jakby przed wejściem do kościoła niewzruszenie od lat przyglądają się przybyłym. Trzy granitowe katafalki, tyle lub aż zostało z jej świata, ze świata słodko-gorkiego dzieciństwa, ze świata powrotów do najlepszego z możliwych światów. Wypatrywanie zmian jest tutaj daremne, po kilku minutach męczy się wzrok. Bo przecież względem czego mielibyśmy się odnieść, względem kilku antenom telewizji satelitarnej, kilku samochodom na podwórzach.



go pola w Pniewie kobiety uwarzyły syrop. Słodziliśmy nim kawę z upalonego zboża lub polewaliśmy chleb. Ciocia Rogowska miała trochę pszennej maki, upiekła cięniutki placek, pokropiła święconą wodą i tym łamaliśmy się w Wigilię.

Mijały krótkie świąteczne dni. Spokój zniknął, kiedy rosyjscy żołnierze przyszli do nas po śladach na śniegu. Najpierw niektórzy z nimi handlowali, później rozzu-chwaleni próbowali rabować. Zaskoczył ich krzyk kobiet i natarcie uzbrojonych w widły i siekiery mężczyzn. Następnego dnia ktoś poszedł na skargę do dowództwa. Odbyła się identyfikacja, ale nikogo nie wskazano. Tak zakończyła się nasza wojna. Wreszcie pozwolono nam wracać do Podgórza. W niektórych domach kwatrowali żołnierze, inne rozebrali na opał. Zamieszkaliśmy w kuchni u Jarotów w osiem osób, obok w pokoju kwatrowali zwiadowcy: lejtnant i jego adiutant. Kobiety zatrudniono w wojskowej pralni urządzonej w opuszczonym domu Sawickich. Szefem pralni był „starszyna Muchin”, który wyznaczył mamusię na starszą praczkę, ponieważ rozpozna-

ła i wiedziała jak korzystać z wyżymaczki. Nieraz śmieliśmy się, że był to pierwszy i jedyny jej awans. Pracowało jedenaście kobiet, dostawały chleb, konserwy, cukier w kostkach, ale potrafiły też swoim sposobem przynieść do domu mydło i wojskową bieliznę. Kilka razy przyjechało wojskowe kino i teatr dla wojska. Pozwolono przyjść dzieciom. Niektóre pierwszy raz widziały takie dziwy. Tak było do połowy stycznia. 17 stycznia 1945 roku wojsko poszło za Narew do Prus, za frontem pojechała pralnia starszyny Muchina. Z Prus wracali Polacy z obozów i robót przymusowych. Wracali też ukraińscy uciekinierzy, nie doczekawszy się „samostijnej” Ukrainy. Rosjanie pędzili, często przy pomocy młodych wracających do domów, stada pięknych krów rasy holenderskiej. Odpoczywali w Podgórzu, by-dło przetrzymując w stodołach. Jak zawsze niektórym udało się kupić za bimber cielę lub wołowinę. Po kilkunastu tygodniach wojsko opuściło wieś i zaczął się czas porządków i remontów. Ciocia Rogowska wróciła do siebie, dostałyśmy w jej domu jeden pokój i czekałyśmy na tatusia, o któ-

rym w dalszym ciągu nic nie wiedziałyśmy. Czynne były już niektóre urzędy, a rolnicy wyjechali na pola. Tatuś wrócił na początku kwietnia 1945 roku razem ze Stanisławem Kłosińskim i Piotrem Zaczkim. Byli wywiezieni do kopania okopów w okolicę Gdańska. Wrócili wymęczeni, zawszeni i brudni, jednak wrócili!

Tatuś pracował trochę w grupie budowlanej kuzyna przy odbudowie domów, mamusia gospodarzyła na swojej ziemi, ale czekaliśmy na możliwość powrotu do Warszawy. Maj wybuchł kwiatami i radością. Rozpoczęła się wielka wędrówka: powroty i wyjazdy, poszukiwania miejsca do życia i rabunki, rozboje, napady. Na cmentarzu w Łomży w całej alei leżą młodzi ludzie, którzy zginęli w bratobójczych walkach, już po zakończeniu wojny. Nikt nie był pewny następnego dnia. Grupa jedenastu rodzin z Podgórza szesnastego sierpnia 1945 roku podjęła decyzję wyjazdu na Ziemie Odzyskane. Byliśmy wśród nich.

**Wspomnienia Marii Cieślik
opracowała
Czesława Długoszek, Objazda**

myślisz



Fot. Archiwum

Ale jest coś co ma ponadczasowy punkt odniesienia, gdy natarczywie przyglądam się Podwilczynowi. Pejzaż z niezmienną się od lat panoramą, wplecioną jak witki wiklinowego, wielkanocnego koszyka ustawionego na świątecznym obrusie i zachowując to, co najważniejsze pod maminą śnieżnobiałą serwetą. Wtapiającą się w pastelowe zbocze lekkiego wzniesienia opadającego łagodnie w stronę wody, w ciemnozielony odcień pofałdowanej tafli jeziora, w mamrotanie naprzykrzającego się wiatru.

Od ponad trzydziestu lat przyglądam się chatom przysiadłym wzdłuż szosy do pobliskiego Darżkowa i domostwom tej, chyba najważniejszej drogi, kamienistego traktu zmierzającego do pobliskiego jaru, gdzie wychodziło się na otwarte pole w kierunku Suchorza. Nowoczesność wdzie- ra się w życie mieszkańców jak las i młodymi witkami zaznacza swą obecność, upominając się o swoje. Tam, gdzie jeszcze niedawno były uprawne pola, gdzie dojrze- wały owies i żyto, samosiejki torują sobie drogę porostami świerku i sosny. Smutnej codzienności przysparza znaczenia nie- uchronna pauperyzacja nanizana na sznur koralu ze zdobyczami współczesności. Do- szło do nieuchronnego absurdu, a za- razem powikłania dziejów, do niechcianego chichotu, za którym stoją z jednej strony zdobycze cywilizacji, a z drugiej prawie całkowicie zaniechanie produkcji zwierzę- cej i roślinnej. Produkcja, taka dla indy- widualnego rolnika, stała się nieopłacalna. Nawozy, środki ochrony roślin, nasiona i bardzo drogi wynajem maszyn, postawił naszego polskiego rolnika w rzędzie pa- robka na swoim. Straszą oczodoły pustych

obór i stajni, z rolników, których poznałem, naprawdę nieliczni próbują utrzymywać jako taką produkcję na przyswoitym po- ziomie. Resztę dopadło zwątpienie i ułuda, że kury i kaczki grzebiące w ziemi w poszu- kiwaniu smakołyków, to załazek przyszłej fermy hodowlanej. Bez większych, dogod- nych dotacji, w konsekwencji najmniej ob- ciążonych procentami kredytu, polskie rol- nictwo skończy w skansenie ogrodzonym wysokim płotem, do którego w niedzie- le będą przyjeżdżały autokary pełne wy- cieczkowiczów. Wyleją się spoceni, z apa- ratami w dłoniach i jakaś miastowa mama powie do znużonego siedmiolatka: „wi- dzisz synku tak wygląda wieś”. (...)

Moja Maria, żona, zoneczka, towa- rzyszka mego życia, chcąc czy nie, uwikła- na jest w tę wieś, z jej przeszłością i tera- żniejszością, z traumatycznymi wspomnie- niami, z niechcianymi nawrotami złego i dobrego. Jesteś stąd bardziej niż myślisz, kochana, chociaż na co dzień wypierasz się tego, lecz tam głęboko jesteś dumna, że je- steś stąd, że jesteś podwilczynianką. Bra- kuje tobie tego powietrza, widoku jeziora i okolic, i gdyby nie zwykłe wygodnictwo pomieszkiwania w mieście, wróciłabyś tu razem ze mną w krainę wiecznej młodości.

Jak ptaki wędrujemy po niebie za- obrączkowani rodowodem trzydziestolet- niego małżeństwa, jesteśmy wtłoczeni w scenografię cmentarza jak postacie na ro- dzinnej fotografii, teraz już niestety coraz bardziej pożąłkłej z widocznym odcieniem sepii, zawieszeni gdzieś pomiędzy prze- szłością a terażniejszością, gdzieś między magią a realnością.

Jezioro Rybiec rozlewa wody leni- wie tuż obok wsi, podczołguje się ciem-

noszarym cielskiem podczas wiosennych roztopów pod płot pierwszej napotkanej chałupy i z tamtych wspomnień było enklawą mnóstwa ryb. Etymologia nazwy nadzwyczaj trafna, w pełni odpowiadająca zasobom tych wód, kłębiących się w przeszłości od nadmiaru rybostanu. Marysia pamięta dobrze, kiedy rybacy z Bytowa, ze spółdzielni rybackiej przyjeżdżali tu na odłowy i za zgodą ojca nocowali w ich domu kilka razy w roku. To wtedy właśnie wdziała pełne skrzynki ryb rozstawione w pokoju od ulicy, tam gdzie kiedyś był sklep. Wyływały wręcz rozmiarami ze skrzynek, niektóre jeszcze uderzały dużymi płetwami o podłogę. Te ryby, nigdy nie zapamiętała ich nazw, były różne, różniące się gatunkami, i jedno jest pewne, sandacze takich, jakie wtedy wdziała, nie ma tam już teraz. (...)

Do Podwilczyna dojechać można trasą numer 210 Słupsk-Bytów. W miejscowości Dębica Kaszubska, za dawną garbarnią skór należy skręcić w prawo. Można dojechać też drogą Słupsk-Miastko, przez wieś Suchorze, kierując się na skrzyżowaniu wsi w lewą stronę, i poprzez wieś Darzkowo dotrzeć do celu. Domostwa wsi usytuowane są właśnie wzdłuż tej szosy prowadzącej do wspomnianej Dębicy Kaszubskiej, aby w przeciwnym kierunku, minawszy historyczną zabudowę Podwilczyna, zamknąć wieś leśnym ruczajem w stronę Suchorza. Teraz prawie nikt już nie korzysta z naturalnej drogi poprzez pola i las, kiedyś była to jedna z niewielu dróg łączących podwilczyńskie sioło z wsią Suchorze na przelotowej trasie do Miastka, Szczecinka i dalej - do Polski - jak mówił Franciszek Lipiński. Jego matka, mieszkająca w małej wsi koło Wielu-

nia, nadal żyła w przekonaniu, że jej syn zamieszkuje tylko przez chwilę w Podwilczynie, argumentując to niemiecką przynależnością tych terenów. Domy Kustra, Łukszy i Sadowskich są poza ścisłym obszarem wsi, chociaż terytorialnie do niej należą. Zmierzając do Podwilczyna, mamy nieodparte wrażenie jakby na czas przejazdu las anektował nas wraz z samochodem we władanie zielonego bezmiaru. Niezaprzeczalnie na myśl przychodzą pierwsze znane strofy: „wpłynąłem na przestwór suchego oceanu”. Po obu stronach szosy mijamy ściany drzew, krzewów i porostów. Prawie nie widać nieba, a w niektórych miejscach tworzy się swoisty tunel z konarów drzew. Jeśli niedługo potem dostąpimy zaszczytu uczestniczenia w pełnej prezentacji palety barw dawnej Puszczy Łysomickiej, doznamy bez wątplenia zauroczenia, ukojenia i transformacji w inne rejony doznań krajobrazowo-poznawczych tych terenów. Przez około piętnaście minut dryfujemy zamknięci w żelaznej skorupie czarną wstęgą pośród zieloności, jak rozbitkowie umieszczeni w kapsule ratunkowej. I tylko nierówność nawierzchni i częstsze niż zwykle dziury w jezdni po mroźnej zimie przypominają nam, że jesteśmy na ziemi. Dawna puszcza łysomicka dostarcza wiele gatunków grzybów w miesiącach jesiennych i jest miejscem exodusu grzybiarzy z okolic Słupska, i nie tylko. Jest również schronieniem dla wielu zwierząt - jeleni, saren, dzików. Jej cień, przynoszący kojący powiew chłodu, sprzyja relaksacji i odpoczynkowi, a w miarę płaski teren zachęca do dłuższych spacerów. Gdy spojrzymy na prawą stronę, w miejscu przystanku PKS na tzw. krzyżówce wsi, zauważymy wiejską drogę wykładaną

kamieniem. Nie jest to bez wątpienia zwykła droga. Jest to tzw. ulicówka lub frydykówka - droga, której wygląd nie zmienił się prawdopodobnie od XVII wieku. Większość osad powstałych w tym okresie charakteryzuje się podobnymi traktami. Budulec na drogi był ogólnie dostępny, z uwagi na uwarunkowania gleb (piaszczysta - IV klasa), kamieni było w nadmiarze i - jak sądzę - z konieczności zaczęto je wykorzystywać do utwardzania nawierzchni.

Domostwa położone po obu stronach traktu najprawdopodobniej są wieronym odbiciem planu urbanistycznego kolonistów - założycieli. Najprawdopodobniej, ponieważ domostwa w chwili kolonizacji terenu budowano z wykarczowanych drzew, a obecnie ich mury zastajemy z czerwonej cegły, i przy ponownym wznoszeniu domostw, plan zabudowy mógł ulec zmianom nie przypominającym pierwotnego zamysłu. Ta część Podwilczyna z wrytą w pejzaż kamienistą, wyboistą, porowatą drogą, jest najstarszą zachowaną historycznie. Wtedy budowano osady na planie owalu lub właśnie tak jak tu, drogi po obu stronach zabudowanej licznymi chałupami. Wieś zaczęto zakładać, karczując uprzednio tereny leśne około 1752 roku. Nazwę Podewilshausen (pol. Podwilczyn) wieś nosi od 1780 roku. A to za sprawą i z całą pewnością na cześć barona von Podewilsa, ministra w rządzie króla Prus Fryderyka Wielkiego, przypuszczam, odpowiedzialnego za wizję osadnictwa swojego władcy. Raz jeden ów minister odwiedził wieś, doglądając włości, przemierzając ten teren w celu sporządzenia raportu. Wieś była królewską własnością, mieszkańcy płacili podatek w pogłowiu i płonach. W tej wiosce, założonej

Pancernik „Bismarck”

Otto Eduard Leopold hrabia von Bismarck-Schönhausen (1815-1898) został patronem jednego z najślawniejszych pancerników w całej zapisanej historii flot



Fot. Archiwum

wbrew zdrowemu rozsądkowi - jak mi się obecnie wydaje - pośród nieprzystępnych lasów, powstały jeszcze w siedemnastym stuleciu (1752) chałupy meklemburskich i polskich kolonistów, w sumie około szesnastu rodzin. Spłynął sen szalonego władcy, który na przekór wszystkiemu wcielał pruski ordnung. Na przekór chłopom i rajcom miejskim, którym nie spieszyło się wcale z wykonywaniem poleceń władcy. Dopiero ponagleni drugim ukazem wyznaczili miejsce pod przyszłą osadę w Puszczy Łysomickiej. W tym okresie blisko dwieście podobnych osad powstało na terenie obecnego Pomorza Zachodniego. Był to efekt zamierzonego i zakrojonego na szeroką skalę planu germanizacji ziem polskich.

Nieopodal wsi leży kamień o zagadkowej nazwie Szelma, który według legendy spadł, kiedy diabeł oczyszczał pole mądrego chłopca. Stał między nimi zakład, że jak diabeł w ciągu jednej nocy oczyści pole z kamieni i głazów, to w zamian chłop odda mu swoją duszę. Trzeba było przenieść ten najcięższy, diabeł opadał z sił i z łap wypuścił. Kamień wbił się głęboko w ziemię, głębiej niż wystawał. Przegrał diabeł z chłopem zakład i odleciał z niczym. Gwoli prawdy, kamień jest tworem lądolodu skandynawskiego powstałym około 200 do 100 lat p.n.e. i przeniesionym w okolice wsi wraz z ustępującą zamarliną. Jest zapomnianą atrakcją, nie do końca prawidłowo rozpowszechnioną.

Kościół wciśnięty w szereg wiejskich zabudowań wyróżnia się odmiennością bryły. To instytucja skromności i prostoty uwikłanej w dziejowy galimatias. Mały kościół, chyba w sam raz na potrzeby mieszkańców. Tylko w dniu pierwszego listopada

robi się tu tłoczno od przyjezdnych. Kościółek w swej bryle przypomina, w mojej ocenie, świątynię ewangelicką i nic wszak w tym dziwnego. Gdy pierwszy raz stanąłem w jego wnętrzu, przytłoczyła mnie jego prostota, skromność prezbiterium, ubogość wystroju, ciasnota obrządku, bliskość księdza, że nieomal można go dotknąć. A może jest w tym jakiś porządek, może tak trzeba, może poprzez ograniczoną formę wyrazu bliżej jesteśmy Boga? Może jest boskim zamysłem, aby odnaleźć równowagę i spokój w konstrukcji kościoła? Bo kościół to codzienność, to samo życie. W cieniu kościoła toczyło się życie, mieszkańcy nadstawiali uszu, aby usłyszeć dobrą nowinę. Przychodzili tu, aby ochrzcić dziecko, dostąpić komunii, zawrzeć ślub i poświęcić pokarmy. Poświęcenie pokarmów jakże było inne niż w mieście. Wielu mieszkańców przynosiło całe tace z większą ilością kiełbas, świeżo uwędzonych szynki i upieczonych ciast wprost przed prezbiterium. Wspólnota chrześcijan nie kończyła się po mszy, pokrzepieni ewangelią przyjmowali księdza w domach, każda rodzina w inną niedzielę. Te świątynie wiejskie są wszędzie takie same w Polsce, stwarzają unikalną atmosferę, którą nie zawsze uda się wydobyc z wielkich sakralnych budowli miast i budowli zakonów. Tu misterium męki Pańskiej przeżywamy głębiej, realistycznie, jakby bardziej namacalnie, zubożoną o splendor ołtarzy głęboko inkrustowanych złotą polichromią. (...)

Wieś swoim położeniem wpisuje się w krajobrazową dolinę rzeki Słupi. W ostatnim okresie nad brzegiem jeziora powstały miejsca wypoczynku ze stanowiskami do grillowania, to chwalebna inicjatywa. Jest

to pierwsza jaskółka zmian sposobu myślenia, mieszkańców. Ale należałoby pójść jeszcze dalej w kierunku utworzenia ścieżek spacerowych wokół jeziora, kilku stanowisk dla wędkarzy, może jakiegoś pomostu - na pewno parkingu dla przyjeżdżających. Kroki te wymagają sporych nakładów finansowych, dobrych programów zagospodarowania i akceptacji lokalnej społeczności. Wielkie rolnictwo raczej lub z całą pewnością tu nie przyjdzie, i dobrze, bo jakoś mi trudno sobie wyobrazić podwilczyński krajobraz z dużymi silosami, zbiornikami na paszę, gigantycznymi oborami ze stadami krów lub świń, z monstrualnymi Fergusonami przemieszczającymi się po urokliwych zakątkach tego miejsca. Mieszkańcy mogliby starać się o dotację od państwa lub z Unii Europejskiej na ochronę dziedzictwa kulturowego wsi, na programy propagujące małe gospodarstwa rolne produkujące zdrową żywność. Na pewno w jakimś sensie atrakcją tego miejsca byłoby organizowanie cyklicznych koncertów muzyki ludowej w miesiącach letnich, natomiast jesienią lub zimą - spotkań malarzy lub pisarzy. Miejsce nadaje się do tych celów jak żadne inne. Mam jednak obawy czy mieszkańcy tych terenów chcą zmian. Może to, co mają w zupełności im wystarcza, może ogólny marazm i nieuchronna skansenowość podobnych wsi, to nieunikniona nadchodząca rzeczywistość i brutalna ingerencja w precudowne polskie pejzaże?

Czesław Bronisław Kowalczyk Słupsk

Tekst ten poświęcam mojej ukochanej żonie Marii, pamięci jej rodziców Zofii i Franciszkowi Lipińskim oraz mieszkańcom Podwilczyna, za trud i wolę przetrwania.

„, jakiego nie znamy...

Otto von Bismarck, pruski polityk o orientacji kontynentalnej, słynny „Żelazny Kanclerz”, bynajmniej nie podzielał ani wielkomocarstwowych zapędów swego zwierzchnika, Cesarza Wilhelma II, ani też jego entuzjazmu dla floty wojennej i poszukiwania przyszłości Niemiec na morzu. Stało się to jednym z wielu powodów sławnego rozbratu, jaki Cesarz wziął ze swoim wiernym urzędnikiem w 1890 roku. Do pojednania obu panów doszło dopiero po czterech latach.

Najślawniejszy ze stalowych „Bismarcków” powstał jako „Nr 509” w znanej i znakomitej hamburskiej stoczni Blohm und Voss. Budowa pancernika rozpoczęła się tzw. położeniem stępki na pochylni w początkach lipca 1936 roku. W Walentyńki (to jest 14. lutego) 1939 roku, zanim kadłub okrętu spłynął na wodę - pani Dorothea

von Löwenfeld, wnuczka „Żelaznego Otto-na”, nadała mu imię swego dziadka.

Nic to jednak - młodszy, większy i nazwany imieniem admirała A. P. von Tirpitz „brat” naszego bohatera spłynął na wodę z pochylni stoczni Marynarki w Wilhelmshaven w... Prima Aprilis tego samego roku (co bynajmniej nie przeszkodziło mu w mało może efektownej, ale nadzwyczaj wartościowej z niemieckiego punktu widzenia służbie)! Gotowy „Bismarck” przekazany został do służby w drugiej połowie sierpnia 1940 roku.

Jak wspomina biograf „Bismarcka”, kapitan baron von Müllenheim-Rechberg - dowódca pancernika, kmdr Ernst Lindemann, nalegał, aby podlegli mu oficerowie i cała załoga używali w stosunku do swego potężnego okrętu formy męskiej, zamiast zwyczajowej u Niemców żeńskiej, inny-

mi słowy życzył sobie, aby o jego okręcie mówiono „on”, a nie „ona”. Około trzydziestu lat wcześniej podobne życzenie wyraził Jego Wysokość Cesarz Wilhelm II w stosunku do ogromnego na owe czasy, ponad 50000-tonowego pasażerskiego liniowca HAPAGU „Imperator”.

Na „Bismarcku” znajdował się, a jakże - wielki portret patrona okrętu pędzla Franza von Lenbacha. Wisiał on przed wejściem do pomieszczeń dowódcy. Komandor Lindemann był przeciwny zabraniowi obrazu w morze i przed wyjściem wystąpił do przełożonych o zgodę na zniesienie dzieła z pokładu pancernika. Sprawa oparła się o samego Hitlera, który zdecydował, że jeśli okręt miałoby spotkać coś złego, to niech portret patrona podzieli jego los, co też nastąpiło.

W niedzielę, 18 maja 1941 roku dowodzony przez wspomnianego kmdra Linde-



Fot. Archiwum

man „Bismarck” z wiceadmirałem Güntherem Lütjensem na pokładzie, opuścił bazę Marynarki Gotenhafen - czyli dzisiejszy port w Gdyni - przy dźwiękach „Muss i denn”, melodii tradycyjnie towarzyszącej wyjściom niemieckich okrętów w morze. Wiceadmirał Lütjens dowodził z pokładu „Bismarcka” zespołem złożonym z pancernika i ciężkiego krążownika „Prinz Eugen”, a okręty wypływały, by w ramach Operacji „Rheinübung” niszczyć konwoje Sprzymierzonych na Atlantyku.

Wczesnym rankiem w sobotę, 24 maja 1941 roku - na tzw. Drodze Duńskiej, oddzielającej Islandię od Grenlandii, miała miejsce bitwa czterech gigantów: dwóch niemieckich i dwóch brytyjskich, wysłanych w morze specjalnie po to, by przechwyciły płynący na łowy zespół wiceadmirała Lütjensa.

Podczas tego starcia zginął wraz z niemal całą załogą HMS „Hood” - jedyna ofiara „Bismarcka”. Był to trzynasty i ostatni krążownik liniowy, jaki kiedykolwiek zbudowano dla Royal Navy; w 1941 roku „Hood” był wciąż największym pozostającym w służbie okrętem wojennym świata. Błyskawiczne zatopienie wielkiego „Brytyjczyka” bardzo dobrze świadczy o wyszkoleniu artylerzystów „Bismarcka”, dowodzonych przez kmdr. por. A. Schneidera. Trzeba bowiem pamiętać, że wobec przyspieszenia przez dowództwo Kriegsmarine terminu rozpoczęcia „Ćwiczeń nad Renem” program szkolenia załogi okrętu został drastycznie skrócony.

Niemiecki pancernik zatonął przed południem we wtorek, 27 maja 1941 roku, ale pierwszy członek załogi „Bismarcka” - starszy bosman Kurt Kirchberg - zginął już wieczorem 24 maja, jako jedyna śmiertelna ofiara ataku samolotów torpedowych typu „Swordfish” z lotniskowca „Victorious”, w wyniku którego pancernik został trafiony ledwie jedną torpedą w burtowy pas pancerny. Komandor Lindemann, gdy zginął wraz ze swym okrętem, miał tylko 47 lat. Wspomniany wiceadmirał Lütjens zginął w akcji na „Bismarcku” w wieku lat 52.

Liczba poległych członków załogi okrętu waha się, w zależności od źródła, od 1.950 do 2.106 osób.

Najstarszym rangą uratowanym członkiem załogi „Bismarcka” był IV oficer jego artylerii, kpt. mar. baron B. von Müllenheim-Rechberg, który po wojnie został dyplomatą i napisał chyba najpełniejszą „biografię” najśłynniejszego z niemieckich pancerników. Z „Bismarcka” uratowano 115 rozbitków (110 uratowali Alianci, 5 - Niemcy).

Jednym z ciekawszych, a mało znanych rozbitków z „Bismarcka” był... duży, czarny kot, maskotka jego załogi. Po zatonięciu pancernika zwierzę (ledwie żywe!) zostało podniesione przez marynarzy z brytyjskiego niszczyciela „Cossack” z deski, na której pływało wśród zwłok i szczątków zatopionego okrętu. Dzielny czworonożny i ogoniasty rozbitek otrzymał od swoich wybawców imię „Oskar”. Gdy HMS „Cossack” zatonął w październiku 1941 roku, storpedowany na Atlantyku przez niemiecki okręt podwodny „U-563”, kocurem z „Bismarcka” zaopiekowała się z kolei załoga sławnego lotniskowca „Ark Royal”, który również wkrótce zatonął po niefortunnym trafieniu ledwie jedną torpedą z „U-81”. Wokół Bogu ducha winnego Oskara, który zrzędzeniem losu znalazł się kolejno na wszystkich tych utraconych przez obie floty jednostkach i szczęśliwie przeżył ich zatonięcia - zaczęła krążyć legenda, iż zwierzak przynosi pecha, wobec czego „wyeksmitowano” go bez ceremonii na ląd, do biura kapitana portu w Gibraltarze. Ostatecznie Oskar, kot z „Bismarcka”, zakończył swoje dni w Sailor's Home w Belfaście około 1955 roku. Przeżył „swój” pancernik niemal o czternaście lat!

Wrak „Bismarcka” został w czerwcu 1989 roku odnaleziony na dnie Atlantyku, na głębokości ok. 5000 m, w odległości ok. 650 km na zachód od Brestu we Francji.

Słynny niemiecki okręt „wystąpił” jak dotąd w jednym - jedynym filmie - brytyjskim obrazie fabularnym z 1960 roku pt. „Sink the BISMARCK!” Jest on też jednym z

nielicznych okrętów swojej klasy, uwiecznionych w piosence - pojawił się mianowicie w najprawdziwszej balladzie w stylu „country and western” śpiewanej swego czasu przez nieżyjącego już Johnny'ego Nortona, a opowiadającej o „największym okręcie, jaki kiedykolwiek pływał po morzach i miał na pokładach działa, jak byki i pociski jak drzewa” (!)

„Bismarck” nie ma szczęścia do polskich autorów ilustracji na obwolutach czy okładkach książek. Na wszystkich tych obrazach przedstawiany jest z uporem godnym lepszej sprawy, jako potrzaskany już brytyjskimi pociskami, płonący wrak, a przecież pancernik ten był nie tylko sławny, ale i piękny.

Razi, zwłaszcza okładka nieudanej polskiej edycji wspomnianej wyżej, najpełniejszej „biografii” okrętu, napisanej przez kapitana von Müllenheima, na której straszny dziób jego wraku, wątpliwie ozdobiony swastyką.

Zdecydowanie najładniejszy portret walczącego „Bismarcka” pędzla Adama Werki, ozdobił obwoluty kilku kolejnych wydań „Drugiej wojny światowej na morzu” pióra J. Lipińskiego, pierwszej polskiej, całościowej historii działań morskich podczas tego konfliktu.

Imieniem admirała Lütjensa nazwano w latach sześćdziesiątych ub. wieku niszczyciel rakietowy Bundesmarine, należący do amerykańskiego typu „Charles F. Adams”.

Kancelarz Otto von Bismarck nie został po wojnie patronem żadnego niemieckiego okrętu, ani pod znakami odrodzonej w 1955 roku Bundesmarine, ani pod banderą Marynarki Wojennej zjednoczonych ponownie w 1990 roku Niemiec. Warto przy okazji przypomnieć, że po zakończeniu wojny w składzie Bundesmarine służyły m.in. kolejny, trzeci już „Scharnhorst” i kolejny, czwarty „Gneisenau”, o trzecim „Schleswigu-Holsteinie” nie wspominając...

**Wojciech Wachniewski
Słupsk**

"I DZIESIEĆ LAT MINĘŁO JAK JEDEN DZIEŃ"

DPS LUBUCZEWO, CZERWIEC 2010



